WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 2 (224)
Rok VI
16 I 1956 r.

JAN GRYGIEL

NOWY „ŻYWOT" CHŁOPA DZIAŁACZA

W nurcie samorodnej, chłopskiej literatury na Rzeszowszczyźnie dużą rolę odgrywa pamiętnikarstwo. Wprawdzie nie stanowi może dostatecznej przeciwwagi dla relacji wspomnieniowych z kręgu szlachecko-arystokratycznego, lecz początkami swoimi sięga jeszcze czasów pańszczyzny. Zaczęło się bowiem w drugiej połowie ubiegłego stulecia w Galicji wraz z początkiem chłopskiego piśmiennictwa. Rozpoczyna serię chłopskich wspomnień i autobiografii „Żywot chłopa działacza" Franciszka Magrysia, później Jan Słomka pisze swój „Żywot włościanina"... i Ferdynand Kuraś „Przez ciernie żywota". Wydaje również fragmenty swych wspomnień Wincenty Witos. Te relacje pamiętnikarskie napisane jeszcze w czasach galicyjskich wydano drukiem dopiero w okresie międzywojennym.

W Polsce Ludowej wydobyto z zapomnienia i udostępniono czytelnikowi sporo nowych pozycji wspomnieniowych.

Otrzymaliśmy zbiór pism Jakuba Bojki, pamiętniki Stanisława Pigonia, Jana Stapińskiego, Wojciecha Byczka-Breowicza. Kontynuują ten nurt chłopskiego pisarstwa w naszych czasach Jan Stryczek, Roman Turek i Władysław Forta. Ostatnio ukazał się jeszcze jeden pamiętnik chłopa-działacza, mianowicie „Wspomnienia" Jana Madejczyka. Po wspomnieniach Breowicza i Stapińskiego, to trzecia relacja pamiętnikarska, ukazująca narastanie chłopskiej świadomości społecznej i politycznej na Podkarpaciu.

Nie wszystkie wymienione wyżej wspomnienia odznaczają się wysokimi walorami artystycznymi. Nie wszystkie dorównują siłą ekspresji książeczce Kurasia: „Przez ciernie żywota", czy książkom Turka „Moja mama, ja i reszta" i „W służbie najjaśniejszego pana". Nie w artyzmie zresztą leży ich siła i znaczenie społeczne. Wszystkie są dziełem najaktywniejszych, najbardziej wartościowych jednostek z mas chłopskich i wszystkie ukazują drogi walki o awans społeczny, o wyrwanie się z upośledzenia i nędzy chłopów, choćby nie wszystkie wychodziły spod pióra działaczy politycznych sensu stricto. Także wszystkie chłopskie pamiętniki są dokumentem życia wsi polskiej, czy to na przełomie XIX i XX wieku, czy też, jak w późniejszych, w latach międzywojennych i częściowo powojennych. Pozwalają poznać jej zwyczaje, obyczaje, rozwój oświatowy, gospodarczy i polityczny. Stanowią dokument dla historyków, ekonomistów i socjologów.

Takim cennym dokumentem jest również książka Jana Madejczyka. Sędziwy działacz chłopski i polityk (urodził się w roku 1880 we Wróblowej, w pow. jasielskim), przeżył razem z wsią polską długi okres jej dziejów i to okres brzemienny w doniosłe wydarzenia. Od czasów zacofania i bierności rodzinnych stron do momentu, gdy stały się one areną świadomej, zorganizowanej, choć prawie żywiołowej w swej sile i spontaniczności działalności politycznej chłopów. Pierwsze bowiem rozdziały pamiętników Jana Madejczyka nie różnią się zbyt wiele od wspomnień Magrysia czy Słomki. Z rzetelnością i dokładnością, z szacunkiem dla każdego szczegółu ukazuje nam autor wieś podobną do obrazu wsi w tamtych relacjach. Wieś z okresu „nędzy galicyjskiej" opanowaną przez zabobony, żyjącą w warunkach prymitywizmu, w ciemnocie i bierności. Na przykład we Wróblowej w okresie dzieciństwa pamiętnikarza nikt nie umiał pisać ani czytać. Wieś, w której zdarzały się na przykład takie wydarzenia:

„...Naradzili się chłopi i postanowili, iż trzeba się pozbyć tej zmory i to w sposób radykalny. Uradzili napaść na Cyganów, zburzyć ich szałasy, a ich samych siłą ze wsi wypędzić... Kiedy Wisłoka po deszczach odpowiednio wezbrała, rzucono się na siedzibę cygańską, bito Cyganów i pędzono prosto do wezbranej rzeki. Cyganie w ucieczce rzucili się do wody, w której się wielu utopiło, zwłaszcza dzieci. Co się uratowało, już nigdy nie wróciło do Wróblowej"...

W ówczesnej Wróblowej wierzono święcie w diabła mieszkającego w pobliskich skałach, topielce, czarownice, w uroki, boginki, zmory itd. Wszystkie te wierzenia, zwyczaje, obyczaje, wypadki i wydarzenia, prace, sposoby zarobkowania ludzi, sytuację gospodarczą wsi, poziom kultury rolnej opisuje Madejczyk ze ścisłością kronikarza i dzięki temu uzyskuje pełny, plastyczny i wiarygodny obraz życia chłopskiego w tamtych latach.

Później pisarz odtwarza budzenie się aktywności politycznej chłopów. Powstają pierwsze chłopskie stronnictwa, chłopi powiatu jasielskiego biorą udział w wyborach, zaczynają czytać chłopskie gazetki i pisma oraz organizować kółka rolnicze i kasy pożyczkowe. Autor podkreśla kilkakrotnie ile trudu kosztowało przełamywanie konserwatywnej bierności chłopskiej na drodze postępu. Ponieważ rozszerza się wtedy pole działania pamiętnikarza (od młodości bierze żywy udział w życiu politycznym) dalsza część pamiętników odrywa czytelnika od opłotków Wróblowej i ukazuje obraz całego Podkarpacia. W tej części wspomnienia stają się historią ruchu ludowego na tym terenie spi-

CIĄG DALSZY NA STR. 3

KARNAWAŁ

Fot — CAF

JAN ŁYSAKOWSKI

ZANIM PRZYSZEDŁ RANEK...

SPIEKOTA DNIA wyładowała się w krótkiej, gwałtownej burzy. Najpierw nadbiegł wiatr, poderwał z drogi kurz, rzucał go całymi kłębami w ludzkie twarze, okna, bielił krzaki. Zaraz za nim szła fala ulewy. Krople padały tak gęsto, że tworzyły sznureczki wody. Lały się one chyba z godzinę. Zaraz też przy wtórze łomotu piorunów zaszumiały strumyczki na co bardziej spadzistych uliczkach. Woda w Lubawce zmętniała.

Ulewa zgoniła patrole. Nawet samochody stawały na drodze. Wąskie szparki światła zaciemnionych reflektorów nie mogły przebić ściany deszczu. Dzwoniły rynny, woda zmyła liście krzaków i drzew. Potem ulewa przeszła w drobny deszczyk, aż wreszcie czarna chmura tracąc swe siły spłynęła z nieba i zabłysły gwiazdy.

Lekki wiaterek przyniósł zapach siana z łąk za Lubawką, kwitnących sadów na wsi... Przyjemnie było oddychać oczyszczonym z żaru powietrzem...

Ludzie przemokli do nitki i Kowal z obawą wsłuchiwał się w ich zmęczone głosy. Mietek Guła pokaszliwał i choć tłumił jak mógł usta, niewiele to pomagało. Mogło to zaalarmować jakiegoś spóźnionego przechodnia lub nawet patrol. Stary żuł w ustach łodygę trawki i dumał...

...Pierwsza akcja. Zebrał oto chłopaków, już jest na miejscu czterech, zaraz powinno dołączyć jeszcze trzech. Grupa wypadowa Gwardii Ludowej w Mnichowie. To brzmi ładnie. Są tu ludzie z warsztatów, z cegielni i jeden luźny z miasta. Czterech młodych, dwóch średnich i on, stary. Mieli dubeltówkę z zardzewiałą lufą, obrzynek karabinu i całkiem dobry pistolet. Ta broń to cała historia. Dubeltówkę wygrzebał Szymek w domu leśnika Pokory. Samemu leśnikowi zmarło się już dawno, żona w kąt strychu nigdy nie zaglądała, to i leżała ta strzelba nieruszana chyba od ośmiu lat. Szymek wymienił ją na dwie gęsi. Za dodatkową kurę wdowa przysięgła uroczyście, że nigdy nikomu nie powie ani słowa. Obrzynek zmontował jeszcze we wrześniu Mietek Guła. Znalazł porzucony karabin, obciął kawałek lufy i schował pod deskę okapu chlewika. Chłopak młody, w wojsku nie służył to i zapomniał o nabojach. Skombinowali teraz dziesięć sztuk diabli wiedzą czy wystrzelą, bo mocno obrosły śniedzią. Wypróbować nie ma kiedy i jak...

„Pistolet... To prawdziwa zdobycz. Nosił go policjant Smoczek z posterunku gminnego w Jedliskach. Taki sobie policjant, ni zbyt groźny, ni zbyt mądry. Pił, zawsze to lubił, ale od wybuchu wojny to lał w siebie tej gorzałki nieprzebrane ilości. Raz zapił w Mnichowie i potem polazł, czort wie dlaczego, w kierunku Lubawki. Wypatrzyli go chłopcy w krzakach nie mogącego ruszyć ni ręką, ni nogą. Został tam dalej związany własnym pasem, ale już bez pistoletu. Jednak brakowało do niego amunicji. Czy Smoczek wystrzelał ją gdzieś na wiatr, czy zgubił — nie wiadomo. W magazynku tkwiły tylko trzy naboje. Pistolet nosi teraz Janek Widuch. Ciągle jeszcze trudno oswoić się z pseudami i dlatego w myślach stary nazywa chłopaków normalnie...

Strzelba, obrzynek, pistolet. Razem cztery ladajakie lufy, coś z dwadzieścia nabojów i siedmiu ludzi leżących teraz w mokrej trawie u podnóża Czarnej Górki. To z naszej strony A naprzeciw... Front dokoła Europy, pod czołgami ugina się ziemia, nie zliczysz samolotów i armatnich luf. Tu w Mnichowie kupa żandarmów, policjanci, koło Czerniewa wojsko w barakach, a ilu jest w większych miasteczkach gdzie są koszary? Do tego kolonia niemiecka w Chmielowcu, posterunki gminne, urzędnicy cywilni co też mają broń. Najmarniejszy sołdat ma karabin i do cholery amunicji, bardzo dużo uzbrojonych w automaty, a jeszcze cekaemy, wozy pancerne, radiostacje, samochody, motocykle, lazarety. Aż trudno to wszystko spamiętać. Dawid miał tylko procę i pokonał potężnego Goliata. Przypowieść w sam raz dla siedmiu Dawidów leżących w mokrej trawie. Tylko czy tą broń można nazwać procą? Za Dawidem stanął Pan Zastępów. Kto stanie za nami? Czy zdarzy się cud i runie Goliat w hełmie i z pistoletem maszynowym w garści?

Łaska okazywana jest tylko w przypowieściach. W życiu bywa inaczej. Nie cud, lecz mordęga, droga po kostki we krwi, ból, strach, rozpacz, nadzieja, wiara. Zamiast łaski za tymi siedmioma muszą pójść inni, wielu innych. Będą padać na tej drodze, dźwigać cię zda się ponad siły, ale muszą iść i dojść. Może z nas pierwszych żaden nie dożyje końca, ale już łaską będzie śmierć w walce, umieranie nie za darmo w krzakach za kirkutem lecz zmuszanie wroga, by płacił też i swoim życiem.

Szuranie cichych kroków po trawie, Janek Widuch opiera lufę pistoletu na zgiętej ręce, któryś sapie pośpiesznie jakby zgoniony i wreszcie gwizd. Zgadza się, swoi. Widuch woła półgłosem:

— Tu.

Podchodzą w trójkę, Kowal oddycha z ulgą, jednak niezawiedli, dobry to znak przed pierwszą akcją. Zbiera ich w ciasny krąg i mówi półgłosem:

— Ja, towarzysze, krótko. Tak jak tu siedzimy — jesteśmy pierwszym u nas oddziałem ludowej siły zbrojnej, Gwardii Ludowej. Dziś zaczynamy bój z faszystą. Co to za wróg, wiecie sami, uświadamiać was nie trzeba. Od dziś koniec jego spokoju. Będziemy go gnębić, zwalczać, pomagać sojuszniczym frontom, a szczególnie Czerwonej Armii aż powstanie nasza Polska robotnicza i chłopska. Komendantem Gwardii naszej dzielnicy komitet naznaczył towarzysza Sękala. Teraz oddaję jemu głos i dowództwo.

Szturknął lekko Kozę-Sękala na znak, żeby już zaczynał. Tamten chrząknął, odmilczał chwilę i powiedział:

— Rozkaz bojowy numer jeden maszerujemy na szóstą kilometr szosy sandomierskiej. Ja i towarzysz Skromny idziemy w szpicy. Z tyłu towarzysz Wojtek. Zadanie. przerwać łączność między Mnichowem a Sandomierzem przez spiłowanie słupów i spalenie mostka na drodze. Jasne?

CIĄG DALSZY NA STRONIE 2

CECYLIA BŁOŃSKA

UCZTA NA RZESZOWSKIEJ WSI

Debiutując w r. 1964 tomem opowiadań „Młodzi dorośli ludzie", Bogdan Madej zwrócił uwagę krytyki, zainteresował spore grono czytelników.

Pod koniec ub. r. ukazała się „Uczta", wydana przez PIW pierwsza powieść Madeja. Jej pierwsze karty wciągają rzeszowskiego czytelnika ściśle określonym tiem, rodzimym niejako krajobrazem: akcja bowiem toczy się na rzeszowskiej wsi; jej początki sięgają roku 1923, gdy narrator, początkujący wówczas nauczyciel, podejmuje pracę nauczyciela we wsi Łowisko.

W tej właśnie części książki, gdy postać głównego bohatera „Uczty" Stanisława Grabskiego zarysowuje się na tle wiejskiej społeczności, autor ze szczególną pieczołowitością „osadza" swą powieść w geografii Rzeszowszczyzny. Nie brak i takich szczegółów, jak w kilometrach wyliczone odległości między Łowiskiem a Kamieniem, przestrzeni dzielących tę wieś od Rzeszowa i Niska, są nawet wymienione stacje kolejowe Przeworsk, Tryńcza, Grodzisko Dolne, Leżajsk, Sarzyna, z podróży, którą narrator odbywa do Łętowni, by odwiedzić swego kolegę.

Nie sama jednakże topografia, raczej pokrywająca się z geograficzną mapą, stwarza, specyficzny klimat, charakterystyczny dla stosunków panujących nie tylko na rzeszowskiej wsi w okresie międzywojennym. Chociaż Madej opowiada losy swego bohatera aż po rok 1948, wszystko to co określa, a ściśle mówiąc p r z e k r e ś l a porywy, ambicje, zamierzenia Stanisława Grabskiego, dokonuje się w latach poprzedzających II wojnę światową.

— Kim jest Grabski, bohater umiejscowiony między rzeszowskimi opłotkami?

— To jedyny syn 8-morgowego gospodarza, skazany przez ojca na pracę na roli, której nienawidzi z całego serca, zafascynowany wizją miasta, dogłębnie przekonany, że nawet i takie miasteczko jak ówczesny Leżajsk, odwrócić może w całości jego egzystencję. Niebanalnymi środkami pisarskimi autor udowadnia, że ten ambitny chłopski syn na pewno w innych warunkach zrealizowałby swój zamiar. Wtedy, gdy jako 19-letniego chłopca, poznaje go narrator, jest to młodzieniec o wybitnej inteligencji i chłonności, wiele lat później, podczas okupacji, gdy jako dojrzały mężczyzna dziedziczy po ojcu znienawidzone gospodarstwo, wykaże wielką odwagę, hart ducha, niebywałą stanowczość.

Grabski to także jakaś reminiscencja „Janka muzykanta", potencjalny talent w sposób niedwuznaczny jednak glaebae adscriptus — przypisany ziemi, od której, okazuje się, nie ma dlań ratunku. Ojciec, nieświadomy zapewne rzecznik teorii o zupełnej nieprzydatności nauki dla wiejskiego dziecka, o niewyrównywalnej przepaści oddzielającej wieś od miasta, o całkowitej samowystarczalności wiejskiej zagrody, uniemożliwia mu ukończenie bodaj szkoły powszechnej.

Później Stanisław żonaty już, lokuje całą swą nadzieję w przyszłym potomku, gdyż — pamiętajmy o tym — sprawa przeniesienia się chłopa ze wsi do miasta stanowi wówczas przedsięwzięcie na wielką skalę, nie gwarantujące żadnych widoczniejszych efektów, aż gdzieś dopiero w drugim pokoleniu. Ale owo dziecko — chłopczyk adoptowany, przy aprobacie bezdzietnej żony, w sposób zawstydzający i tajemniczy od przygodnej kochanki, umiera — pogrążając Stanisława w bezbrzeżnej rozpaczy. Jest to czas po wyzwoleniu, upragniony cel zdaje się tak blisko: Grabski pracuje na jednej z rzeszowskich budów, utrzymując nadal gospodarstwo, i w pewnym stopniu rozpoczął już swoje p r z e n o s i n y.

Czy znajdzie na tyle sił, by po ostatniej klęsce, wyzwolić się z z i e m i, porzucić stary, rodzinny dom, wokół którego zasadził piękne, smukłe topole?

Jego smutki, tragedia niespełnionych pragnień jest tym głębsza, że Stanisław, chociaż nie było mu dane ukończyć szkół, jest człowiekiem wysoce inteligentnym. W jego ustach nie wydaje się bynajmniej nieoczekiwana analogia, jaką wysnuwa między swoją ponurą dolą a dramatyczną u c z t ą u szekspirowskiego „Hamleta", na której nie tyle ucztuje, ile jest zgładzony Ponicjusz...

Pewnym brakiem powieści jest nadmierne może skupienie, spiętrzenie wszystkich wydarzeń wokół postaci głównego bohatera. I narrator, i jego żona — Barbara, i wszystko w zasadzie co rozgrywa się w budynku szkolnym, oddalonym o 20 metrów od zagrody Grabskich, zwrócone jest nieomal nieustannie ku sprawie Grabskiego. Dobrze więc, że Madej z talentem zarysowuje postaci, w jakiś sposób tylko towarzyszące: pełnej wdzięku, przekornej Barbary, mocnej indywidualności Krasuckiego, kierownika szkoły, starego Grabskiego, żywiołowej, zgaszonej przez nieudane małżeństwo Katarzyny, żony Stanisława. Za mało też dzieje się w samej szkole, niewiele i we wsi. Dowiadujemy się wprawdzie, że Bednarz, jeden z uczniów z Łowiska kształci się dalej w handlowej szkole w Rzeszowie, że jego rozumny ojciec nawet i drugiemu synowi p o z w o l i ł uczęszczać do wyższej klasy, ale są to raczej fragmenty, w całości podporządkowane głównemu wątkowi pierwszoplanowej postaci.

* * *

Czymże jest nieosiągalne marzenie tego syna rzeszowskiego ciemnego chłopa, w porównaniu z masową migracją chłopskich dzieci do miast, do fabryk, do zakładów pracy? Jak o d b i e r z e ten wątek młody lekarz, inżynier, technik, reprezentant pierwszego pokolenia zawodowej inteligencji, zamieszkały i pracujący w mieście, który przed niewielu stosunkowo laty, przy całkowitej aprobacie rodziców, korzystając z wielkiej pomocy władzy ludowej, kontynuował naukę, studia i nikt bynajmniej na wsi nie liczył już na jego powrót. W tej warstwie „Uczta" jest powieścią konfrontacyjną, wnioski z jej lektury, czy czytelnik pragnie tego czy nie, nasuwają się same...

Rzeszowszczyzna, która tak staran nie pielęgnuje związki z pisarzami zainteresowanymi regionem, niewątpliwie podejmie kontakty z Bogdanem Madejem. Nie tylko z tego względu, iż zlokalizował on „Ucztę" na rzeszowskiej wsi.

Bogdan Madej. „Uczta". Państwowy Instytut Wydawniczy. r. 1965, str. 258. Cena zł 15.—

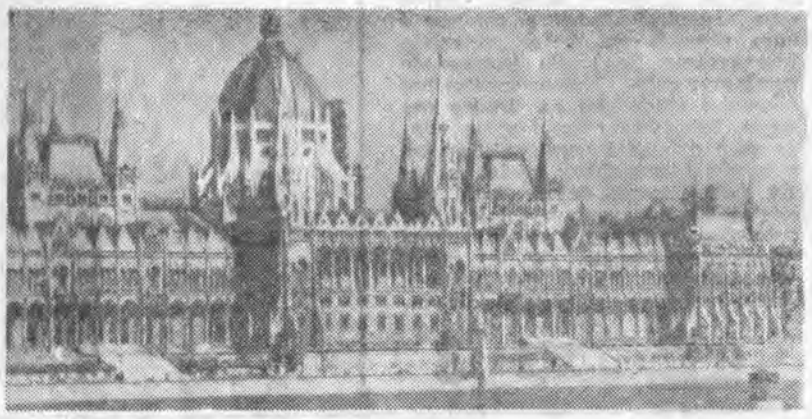

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

PODRÓŻ

Najpierw było słońce nad Tatrami, które siało złotem po połoninach, rozwidniało góry i w zawiłej gonitwie z chmurami nakrywało się szczytem jak pancerzem. Kiedy zszarzały, ukarany świat zdradzał pierwsze oznaki zimna wyskakiwał zza szczytu błysk, czerwieniało i letni, słoneczny dzień zaczyna się na nowo.

I tak wędrowaliśmy przez te smutki i wesela ostatnich dni sierpnia, a porżnięte serpentynami góry uskakiwały w bok, jak ciężkie olbrzymy, które opadła sfora ruchliwych kundli — samochody. Było jakoś tak, że uczuliśmy zażenowanie, kiedy zbyt łatwo i szybko mknęliśmy przez pozornie niedostępne szlaki, które inni zdobywają tygodniami i by choć trochę solidaryzować się z górami, mieć z nich tę rzeczywistą przyjemność turysty, puściliśmy całą sforę samochodową naprzód, a sami powlekliśmy nasz wolniutko nad skraj syczącego potoku, gdzie na wielkim głazie siedziała jaszczurka niepomiernej brzydoty.

Krzysiek bohatersko zaproponował uprzątnięcie zwierza, ale płaz był szybszy i opróżnił stół, wielkim łukiem spadając w trawy; zaczęliśmy w nabożnym milczeniu opychać się jajem na twardo od polskiej kury. Samochód jak biały żuk, rozpłaszczony na szosie lśnił upałem, potok skakał po głazach, chaszcze skrywały jaszczurki, szosa jak kolejowy nasyp łagodnie wędrowała dolinami i, któryż to już raz z rzędu, czarowne lato brało nas w posiadanie? Zostały za nami sprawy nie do załatwienia, artykuły nie do napisania, zadania matematyczne nie do rozwiązania — za miesiąc wrócimy do nich i to już będzie jesień, też zresztą warto pomyśleć, któraż to już będzie jesień, co nieodmiennie zamyka wakacje powrotami?

* * *

Lubię te podróże, kiedy w bagażniku dźwięczą patelnie i gary, wystaje zeń kokieteryjnie róg kołdry, starej poduszki, a wieko za pociśnięciem odskakuje złowrogo i grzebiemy w tych różnościach nigdy nie mogąc nic znaleźć, zawsze przerażeni, że z powrotem się nie domknie, a ja składam nieodmiennie propozycję wylania zapasowej benzyny, słysząc w odpowiedzi wariatka... Strach pomyśleć, że nigdy nie udało mi się skompletować sensownego bagażu; jak jest chleb i wędlina — nie ma noża, jak zabieram herbatę — zapominam łyżeczki, wożę wieczorowe suknie, chodząc przez miesiąc w jednym łachu, moknąc bez parasola. Lubię te podróże.

* * *

Przywożę z nich rzeczy bezsensowne: walizki przewodników, stare rupiecie z antykwarni, plądruję tamtejsze cepelie, a pod koniec załamana praktycznością współziomków z pasją rzucam się na czeskie garnki, czajniki, z przerażeniem oglądam bułgarskie jagniątka, których już nie ma za co kupić, węgierskie buty, ale w cichości cieszę się swoimi rupieciami tym bardziej i wspominam smak koniaków, win i owoców, którymi nakarmiłam swoje wnętrze do sytości w upalne węgierskie wieczory. Są cząstką radosnego lata.

* * *

Kiedy na Vaci — utca babki ganiały za swetrem i szpilkami, porwana psychozą zakupów pędziłam za nimi — zgubiła mnie rama. Piękna, XVII-wieczna, za 2 tysiące forintów, była tą właśnie, o jakiej marzyłam. Nie mieściła się w samochodzie. Do dziś widzę tę ramę i uśmiech starego anktykwariusza, który łamaną francuszczyzną objaśniał mi jej uroki, zdziwiony, że w pustym dotychczas sklepie znalazła się zwariowana Polka, która na słynnej z urokliwych łaszków Vaci przymierza ramę do samochodu, słucha z trudem plecionych opowieści i nie kupuje pięknego kapelusza, co wabi z okna naprzeciw. A później antykwariusz wynosi piękne gruszki i z ochotą zjadamy owoc, co dostarczył tematu do martwych natur tylu malarzom. I śmiejemy się z tego poczęstunku, tak bardzo odpowiedniego przy pertraktacji o piękne ramy, których kupić nie sposób.

* * *

Kiedy wyruszyliśmy wtedy znad potoku i w pędzie, bo było już południe, przemknęliśmy przez Tatrzańską Łomnicę, Smokowiec, było tak, że upał stał się przekleństwem. Cykały tylko zawory, syczały we

Zanim przyszedł ranek

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Jeszcze kilka pouczeń, żeby cicho, papierosy zostawić, obserwować. W razie czego padać na komendę na ziemię i czekać. W razie walki słuchać rozkazów i nic samemu. Kowal, choć tego nie było widać, potakiwał z uznaniem głową. Dobrze to Koza wyłożył, widać myślał nad akcją.

Szli gęsiego cicho, wtopieni w noc, cienie przesuwające się po śpiącej ziemi. Krótkie, urywane oddechy, czasem rwący się nerwowo szept, ostrożne kroki. Przeszli skrajem lasu aż do gościńca z Jedlisk, potem miedzami zostawiając po lewej ręce Zachcianków maszerowali ku szosie. Pusto wszędzie, gdzieś ze wsi odezwie się czasem pies. Trudno przełknąć ślinę, skurcz jakiś trzyma gardło, przecież się nie boję, żandarmi o niczym nie wiedzą, śpią spokojnie w mniechowskiej szkole, nie spotkamy ich tu. A gdyby?

Cichy gwizd, ludzie przypadają do ziemi. Brzęknęła piła, kaszel Guły i znów milczenie. Na tle nieba rząd słupów, sterczą niczym ciemne palce związane drutami, wyznaczają drogę. Staniesz pod nimi, usłyszysz brzęk, poświst jękliwy, lecą słowa po drutach, kiedyś jakieś zwykłe, codzienne, dziś każde z nich pachnie trupio, ocieka krwią. Może już przeleciał wyrok na mnie, na ciebie, na nas wszystkich? Może już warczą motory samochodów, zgrzytają podkute buty? Przerwać, zagłuszyć, zniszczyć. Niech ludzie odetchną choć na chwilę.

Piła dźwięczy rytmicznie, lecą trociny, ręce ludzi naciskają słupy. jeszcze kilka pociągnięć, druty dzwonią, słup podskakuje, przechyla się na bok i zwisa. Dolny koniec ryje głęboką bruzdę. Ci z piłą biegną do drugiego. Rosły chłop, to chyba Broda z cegielni, rąbie druty siekierą. Nie bardzo mu to wychodzi, klnie półgłosem.

Czas wlecze się wolno, co się tak guzdrają? Już dawno powinni ściąć drugi, a oni nie przerżnęli ani połowy. No, nareszcie. Koza idzie wzdłuż szosy, ludzie dźwigają słupy, odnoszą je w bok nad strumyk. Tam też rzucają odcięte przewody. Teraz biegnie Ryś z bańką nafty. Komendant z troską maca deski mostu.

— Cholera przyniosła ten deszcz — mówi do Kowala — mokre.

— Nie ma rady.

— Żeby było skąd wziąć słomy.

— Daleko.

— Właśnie. — Koza drapie się za uchem — rozbierać też nie ma kiedy.

— Czas kończyć.

— Ja też tak myślę.

Ludzie schodzą się koło mostka. Koza zgania ich w dół. Już nadchodzą ci z ubezpieczenia.

— Wszyscy?

— Tak — mówi któryś.

— Zapalać!

Błyska płomyk. Płonąca szmata zatacza łuk i pada w kałużę nafty. Ogień.

— Jazda! — Koza zeskakuje z nasypu. Odskok wzdłuż strumyka aż do górki. Przez dwieście metrów bieg lub szybki marsz. Kowal zasapał się na dobre. Owszem, młodym to nawet na zdrowie, ale jemu? Zauważył obok siebie Kozę. Komendant trzymał w garści ucięty karabin i co chwilę oglądał się do tyłu. Płomień skakał po mostku, widać chwycił poręcze, bo jaśniał tam coraz wyżej.

Chwilę odpoczywali. Napięcie wyładowuje się w pośpiesznym szeptaniu. Któryś opowiadał o tym jak im uwięzła piła, inny cieszył się z wrażenia jakie to rano zrobi na Niemcach. Odchodzili pośpiesznym marszem wprost na zaczerniański las. Kawałek drogi przeszli brodząc boso w strumyku. To, żeby psy nie wpadły na trop. Potem lasem i lasem obeszli łukiem dwór w Korytkowcach, przesieką przeskoczyli górki i wreszcie dotarli do gajówki starego Jurasia, wuja Guły. Niebo zszarzało już i z mroku wychodziły drzewa. Był wielki czas, by zapaść gdzieś na dzień. Pies zaszczekał krótko i zaraz zamilkł poskromiony przez Jurasia. Gajowy czekał na nich, siedząc na ganku. Zaprowadził ich zaraz do stodoły, na siano. Przyniósł spory bochen chleba, mleko, gotowane jaja.

— Palić możecie tu — pokazał na klepisko — tylko uważajcie.

— Dobrze — kiwnął głową Koza — zrozumiałe, nie bójcie się. Niedzielny ranek wstawał ciepły, pogodny. Od lasu dochodził świergot ptaków. Wtórowało im leniwe gdakanie kur na podwórzu. Potem wypędzono krowy. Łaziły chwilę przy studni, aż wreszcie chłopak w rozchełstanej koszuli wypędził je za bramę. Promienie słońca wpadały ukośnie przez szpary między deskami. Kowal ułożył się obok ściany i chciwie wpatrywał się w mały światek gospodarstwa gajowego. A oto i on sam. Omotał głowę siatką, w ręku podkurzacz. Za domem, w ogródku od strony lasu stoją ule. Juraś podnosi pierwszy daszek. Ruchy spokojne, powolne. Kolejno wyciąga ramki, podnosi je do góry, ogląda. Niektóre wkłada z powrotem, inne odstawia na bok. Przed wejściem do kuchni gromadzą się kury. Zaraz wychodzi do nich Jurasiowa. Ptactwo tłoczy się wokół jej nóg, gdakanie. Pies leniwie przeciąga się pod budą. Gdyby nie sapanie śpiących, zmęczonych ludzi zakopanych po uszy w sianie i czuwający na skraju sąsieka człowiek z pistoletem w ręku, można by zapomnieć o wojnie, okupacji i tych wszystkich strasznych sprawach. Ludzie żyją w tym lesie jak zawsze. Mają swój ustalony porządek, swój światek. Dziś, jutro, za tydzień, za rok będzie tak samo. Juraś po pracy przy ulach, Jurasiowa na podwórku, pogdakujące kury, w chlewie świnka i krowy, koń. Spokój, pogoda. Ale czy tak jest naprawdę?

Wojna jest wszędzie. Oto przyszło ich tu siedmiu żołnierzy. To nie pogoda i spokój, lecz cisza przed burzą, nadsłuchiwanie każdego odgłosu, wypatrywanie czy nie idzie obcy. Aż do popołudnia, gdy wyjdą stąd pojedyncze, wsiąkną w polne dróżki, by przed zmierzchem dotrzeć do miasta.

Wojna jest w ludzkich myślach, wrosła w nie, opanowała. Wojna daje o sobie znać na każdym kroku. I wtedy, gdy chcesz jeść i wtedy, gdy chcesz odpocząć i wtedy, gdy tylko chcesz żyć. Ale ten jest w wojnie szczególny. Dziś przestali biernie oczekiwać co przyniesie los. Sami, dobrowolnie rzucili mu wyzwanie.

Czy to nie za dumnie? Może to nie jest rzucenie wyzwania, tylko po prostu stawanie się z powrotem ludźmi? Łatwo, strasznie łatwo człowiek przekształca się w rzeźne zwierzę. Wystarczy pozostawić mu ze wszystkich strachów ten ostateczny: o resztkę egzystencji i życie. Uczepi się go i będzie na kolanach wlókł się dalej, byle żyć, byle jeszcze dzień, tydzień, a może godzinę? Łatwo, strasznie łatwo przemieniamy się w zbiorowisko żyjących samotnie, tylko dla siebie człowieczków. Teraz trzeba wrócić do człowieczeństwa, trzeba znów stanąć na nogi. Po raz drugi w historii człowieka. Niełatwo to zrobić. Chyba tylko w walce.

Był czas na rozmyślania. Przedpołudnie wlokło się w nieskończoność. Sen jakoś nie przychodził. Dużo jest spraw, strasznie dużo. Pierwsza akcja udała się. Pewnie, można wydziwiać, że co to jest w końcu ścięcie kilku słupów i podpalenie mostka. Ot, drobny epizod, który najwyżej tylko lekko podenerwuje powiatowego komendanta żandarmerii, może nawet nie dotrze do gubernatora, zostanie po nim tylko ślad w postaci policyjnego meldunku. Ale to przecież nie tak. Pierwsza, dopiero pierwsza. Potem przyjdą inne. Żeby zniknął spokój żandarmów. Muszą drżeć, bać się każdego cienia, czekać niepewni jutra na następny cios. Dziś jest nas siedmiu, jutro będzie siedemdziesięciu. Zaświecimy w żandarmskie oczy niejedną łuną.

Fragment II tomu książki „Kowale" przygotowywanej do druku przez Wydawnictwo MON.

U SCHYŁKU LATA

wnętrzu oszalałe osy. Krzysiek miał czkawkę i nie mówiliśmy do siebie. Samochód był miną, a my lontami. Mój był najkrótszy.

Człapaliśmy w tym milczącym rozdrażnieniu do Preszowa, i kto wie, co by się stało, gdyby nie Spiski Hrad, co jak żółty wąż rozłożył swe mury ze złotego kamienia na łagodnej skale. Okazało się zresztą, że czkawka była z nudów i wystarczyło, że zamczysko na moment zniknęło, by na ponownej serpentynie wynurzyć swoje błyszczące cielsko, coraz bliższe, coraz wspanialsze, aby rozrzedzone upałem powietrze przestało być przedsionkiem Hadesu.

Dziwny gród. Od strony południowej przytłacza wspaniałością, każe podejrzewać Muzeum, do którego prowadzi dostępna ścieżka i obronne mury terasami wznoszące się ku głównej bramie; przy podjeździe z boku i już zupełnie blisko, zaczyna niepokoić pustką okien, by obnarzyć wreszcie ten doskonale zakonserwowany fronton, brak ścian bocznych, skruszały tynk. I strach, wielki strach, że za chwilę runie wspaniała cienka ściana, która tak znakomicie udaje wielkie grodziszcze.

* * *

Nijaki Preszów. Na przedmieściach wiejskie domki i potężne kominy. Piach wdziera się do wozu. Jedziemy dalej. Koszyce. Coś chrobotnęło w białym żuku i zaciął się. Jedzie na pierwszym biegu. Charczy. Ryczy. Paskudzi podróż, złośliwiec, bo chrobotnął na przedmieściu. Majaczy przed nami popołudniem ruchliwe miasto, w którym przewidzieliśmy dłuższy postój. Poczwary — samochody obok pobliskiej stacji benzynowej coś tankują. — Krzysiek ma czkawkę, już nie z nudów.

Obskoczyli nas. Radzą. Zaglądają. Moje bóstwo — kierowca chmurne, z łapami uciapanymi smarem, przestało do mnie mówić w ogóle. Naszpikowane radami, wskazówkami upycha nas do wnętrza, ze wstrętem wyrzuca rozgniecioną śliwkę, którą przypadkiem naruszył w wielkiej nerwowości siedzeniem i jedzie. Jeżeli t o w ogóle można nazwać jazdą.

Obojętnie pytam Krzyśka: — nie boli cię brzuszek?

Czknął w odpowiedzi — i ryczymy ze śmiechu. Swoją drogą ludzie dobrzy, dogadać się można, pieniądze mamy.

Prowadzi nas dziewczynka z kotem na ramieniu i błogosławimy żuczka, że w ogóle chce się poruszać...

* * *

Ci Słowacy — to Węgrzy. Nie jestem w stanie zrozumieć ich języka, ale mechanik pracuje w zakładach Skody, wie na co zachorował żuk, reperuje. Za chwilę wszyscy są umazani smarem, Krzysiek bije się z dziewczynką — Słowaczką o kota — jest jak na wsi — harmider, wrzawa, śmiesznie. W końcu stary mechanik wyciąga z garażu własnego pioniera — Skodę, ładuje nas do samochodu, kładzie obok wymontowany z żuka wichajster i hajda do Koszyc obcym wozem na wielkie lutowanie. Wszyscy się znają, pokrzykują, jest sobotnie popołudnie, koszyccy mechanicy świętują. Wyciągamy jednego z piwiarni, lutuje, nie chce grosza, wracamy. Po drodze nasz Słowak-Węgier opowiada, że był z Warszawie; rozweselony widać dobrym uczynkiem z galanterią proponuje, że odwiezie panią (to znaczy mnie) nawet do Polski.

Zamontowuje „wichajster" — chcemy płacić, wielki protest. Polish Vodka i czekolada — to jedyny ekwiwalent, jaki udało nam się wcisnąć przemiłej rodzinie.

Jeszcze raz wieczorem spotykamy go w Slavii — nocnym lokalu i z przyjemnością stwierdzamy, że napoczął już polski dar. Obiecujemy go odwiedzić...

* * *

Gdzieś w połowie drogi między Miszkolcem a Budapesztem decydujemy się na nocleg obok ośrodka wypoczynkowego. Kończy się niedziela, wozy furkają w stronę Budapesztu; park z basenem i natryskami pustoszeje, za moment zamknie swoje bramy do następnego weekendu. Leży pośrodku pustego obszaru łąk, bez zaplecza małej nawet wioszczyny — dość dziwne czyni wrażenie na nas ten komfortowy ośrodek czynny przez 2 dni w tygodniu, tylko dla zmotoryzowanych turystów.

Za siatką ogrodzenia dwa wozy — domki campingowe i chyba z 10 osób w nich — stoją tu już dłuższy czas. Urlop. Węgrzy są z Budapesztu — magiczne „Lengyel" mobilizuje ich momentalnie. Przynoszą ciepłą wodę, proponują kolację, wywieszają na zewnątrz lampę, bo tymczasem zdążyła spaść na nas noc. W zapalonych reflektorach samochodu kłębią się komary, gdzieś w pobliżu gaworzą żaby i jest tak jak na polskiej wsi — niby cicho, a mkną po trawach szelesty, skrzeki, cykania.

W nocy zawala się środkowy kijek namiotu kopnięty widać czyjąś potężną nogą; jest tak ciepło i urokliwie, że błogosławimy tę przymusową przerwę w śnie i jak niespokojne duchy kręcimy się po łące.

Rano Węgrzy czekają z herbatą... Topnieją złe humory ranne w tej przyjacielskiej plątaninie języków, snuje się babie lato — za kilkanaście kilometrów w maleńkiej czardzie pochłaniamy palcami debreczeńskie kiełbaski i parzymy wargi cudowną kawą. Młodzi robotnicy rolni obsiedli gromadnie wokoło. Nie dziwię się ich dobrym humorom; dzień zaczęty tak doskonałą sprawą musi być pogodny.

* * *

I drugi raz Budapeszt. Nie zmieniony od zeszłego roku, chociaż nie — przelatujemy nowo otwartym mostem zawieszonym na przęśle grubości dwu rąk i wpadamy w piekło ronda, które prowadzi do nikąd, bo wokół skweru można pojeździć parę godzin i nie bardzo wiesz, w którą stronę wyjechać. Ratuje nas znajomość miasta i pchamy się, ja z zamkniętymi oczami, w majaczącą po lewej stronie ulicę Bartoka. Kiedy odważam się

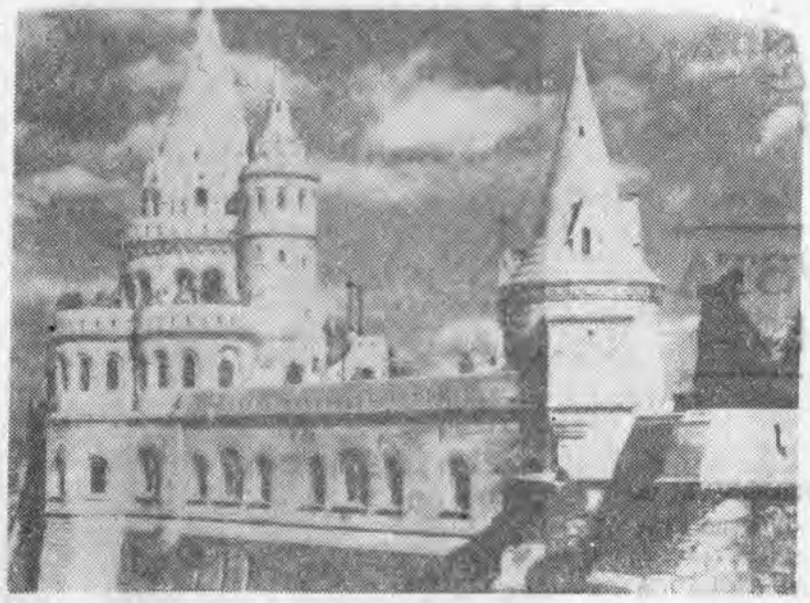

spojrzeć na bok — dostrzegam tylko przystającego moskwicza z przystojnym młodym człowiekiem za kierownicą. Patrzy na nasz skok w lewo ze zdumieniem godnym lepszej sprawy... Chciałabym go widzieć w Warszawie na sławetnym rondzie Waszyngtona!

* * *

Trzy tygodnie Balatonu. Wszystkie bez mała nazwy miast, miasteczek, uzdrowisk zaczynają się od przedrostka Balaton. Właściwie to jest jedno miasto Balaton. Przedzielone parkami, górami, z jeziorem pośrodku, zamknięte szosą wokoło. Miejscami bardzo piękne, miejscami pospolite. Zagospodarowane przemyślnie, obliczone na turystykę i wino — miasto weekendów i wakacji z maleńkim półwyspem Tihany, o którym legenda mówi, że panujący tam król stracił córkę i wierne jej stada kóz, które pochłonął władca Balatonu. A mali chłopcy do dziś sprzedają kamyki o dziwnym kształcie, twierdząc, że jezioro wyrzuca kozie kopytka, piękne, oszlifowane przez wodę i czas...

* * *

W starych winiarniach, gdzie po wyszczerbionych cegłach stropów pełgają płomyki świec — próbuję kupić za szklankę tokaju łut sentymentalnego lata. Gdzieś obok tętni życiem małego portu Siofok, a tu, w Borharapo, Cyganka na harfie wydzwania stare czardasze, pijana młodością i winem dziewczyna kładzie głowę na ramieniu chłopca, płomień świecy drży, kurczy się i gaśnie — wnęka pogrąża się w mroku. Z bufetu pędzi woń ciężkiego słodkawego zapachu — bukietu win balatońskich, piwnica ma długą nawę z gotyckim sklepieniem i wnęki z maciopkimi stoliczkami. Jedne za drugimi, wydłużone jak monstrualny wąż czynią migotaniem grubych gromnic osobliwe złudzenie średniowiecznej winiarni...

Złudzenie pryska w nowoczesnym hallu, gdzie portier uśmiechnięty wręcza nam Krzyśka, wściekłego, że nie ma jeszcze 18 lat...

Pryska jeszcze raz, gdy w pięknie wydanym po francusku guide'zie czytam, że szlofocki Borharapo, to miejsce spotkań etranżerów z całej Europy... Łza się w oku kręci, że nawet o nastrój dla cudzoziemców umieją się postarać. Mądry kraj.

* * *

Maleńka gospoda — csarda w lesie, przy szosie. Samotna. Ubrana w makaty ludowe, poduszki, gliniane dzbanki, wazony, kute świeczniki. Przepiękna i chyba autentyczna. Znowu Cyganie, nocą tańce, niedrogo, uprzejmie, czysto i radośnie.

* * *

Keszthely, Veszprem, Tihany, Balatonfüred — piękne miasta, bogate w historię, ozdobne w zabytki, owiane legendami, które w sposób absolutnie doskonały sprzedają wszystkie różnojęzyczne przewodniki. Cieszę się ze zdobyczy takiej jak w Tihany, gdzie we wczesnośredniowiecznym opactwie natykam się na pierwszy pomnik lingwistyczny z XI wieku, w którym jedno jedyne zdanie węgierskie wplotła nieznana ręka do tekstu łacińskiego, takiej jak w Keszthely, gdzie w 40-tysięcznej bibliotece szczycą się bajecznymi inkunabułami z Wenecji, Bolonii, Augsburga, cieszę się z poznania niepozornego Balatonfüred, bo właśnie tu Kossuth pisał swe pierwsze sławne listy, tu powstał pierwszy teatr narodowy, tu Stefan Szehenyi pierwszy wysunął projekt fundacji węgierskiej akademii naukowej.

A Veszprem — średniowieczna forteca — siedziba arcybiskupstwa rozparło się na górach i bieli w słońcu, i złoci barokowym bogactwem kościołów. Stąd podobno porwano księżniczkę Małgorzatę, która dokończyła krnąbrnego żywota w starym klasztorze na wyspie jej imienia w Budapeszcie. Otoczone bunkrami dolomitów, napowietrzną szosą, o której z dumą do dziś mówią „na Wiedeń" w czasie ostatniej wojny zamieniło pieczarę ciągnącą się na przestrzeni kilku kilometrów na najbezpieczniejszy schron świata dla dziesiątków tysięcy mieszkańców.

Mówi o tym zabawnym volapükiem przewodnik, który dowiedziawszy się, żem Polka, szepce mi na ucho:

— Moja babka z domu Kraczkowska...

— Z Krakowa — dodaje — żeby śmieszniej było.

* * *

Lato niebezpiecznie szarzeje. Upały z małym słońcem przypominają o domu. Pakujemy patelnie i kołdry.

* * *

Dwa dni Budapesztu. Stara pani, u której mieszkamy, jak dobra strzelba, wysypuje z siebie naboje słów francuskich. Miesza czasy, składnię, ale słownik jej superkompletny pozwala na tę orgię gramatyczną. Jest budapesztenką, gimnazjum kończyła w Wiedniu, córkę ma w Paryżu — żyje samotnie w ogromnych pokojach - landarach, które Ibusz doradza podróżnym. I żyje z turystami za pan brat. Chętna, uśmiechnięta, pędzi co chwilę z czajniczkiem l'eau chaud i rumem do herbaty, opowiadając po drodze o swoich sympatiach do tres culturels Polonais. Po dwóch dniach pobytu żegnam ją jak starą znajomą, do której wrócę. I zawdzięczam jej nieskończenie czarowną noc na górze Mateusza...

* * *

Średniowieczne miasteczko, zamknięte murami niepokalanej białości, w które przemyślnie powtykały się wieżyczki jak wschodnie minarety, zwane Bastionem Rybaków, kryje w sobie najpiękniejszy z zabytków Budapesztu — gotycki kościół św. Mateusza.

* * *

Jest noc. Za nami parę setek schodów, co bronią dostępu do góry, dachy niskich kamieniczek lśnią w świetle reflektorów po krótkim deszczu — cała świadoma ekspozycja starego miasta, iluminowanego jak w karnawale, stwarza scenerię z kolorowego snu. U stóp naszych drzemie Budapeszt. Drzemie w feerii barw i światła, mosty ustrojone w lampy przeglądają się w Dunaju, gdzieś w dali ryczy stateczek wiozący różnobarwny tłum, na dole, pod terasami schodów Cyganie grają w ogródkowej restauracyjce, a obok, na tle gotyckiej świątyni pojawia się mikroskopijny autobus bez okien z turystami, co za 40 forintów zwiedzają „Budapest by night". Przewodnicy z Ibuszu wymachują różnobarwnymi folderami i Budapeszt jest naraz małym Krakowem i małym Paryżem. Budapeszt nocą, za darmo, na górze Mateusza. Średniowieczny i tak bardzo nowoczesny, zapobiegliwy, rozumnie podniecający ludzkie słabostki.

Na wyspie Małgorzaty dziewczyna zdejmuje skąpe szatki i pomyśleć, że kilka wieków w przeszłość inna Małgorzata zamiłowanie kończyła żywot w klasztorze tuż obok...

* * *

Wielki sprint do Polski. Jeden dzień. Połykamy Bratysławę w kilka godzin, Trencin o zachodzie słońca oszałamia pięknem starego opactwa i potężnej cerkwi; kupuję za resztki garnki i czajniki, proponuję miłemu milicjantowi mandat zapłacony czajnikiem— śmieje się i macha ręką — i pod Cieszynem mgła. Szalona, wściekła mgła. Chcę nocować w miejscu, gdzie nie trudno o złe duchy — z jednej strony skała pionowa, nie widać jak wysoka z drugiej — przepaść i zupełnie w dole, gdzie nie ma tego przeklętego mleka, migoce światłami jakaś wioska. Cicho, przeraźliwie pusto. Krzysiek kończy wakacje czkawką. Wartburg z polskimi znakami dogania nas; posyłają złośliwy uśmiech i pędzą na złamanie karku, prowadzeni przez światła przeciwmgielne. Zapachniało krajem...

Po omacku, krok za krokiem, walczymy z mlekiem, w które wpadliśmy i przybijamy do granicy. Jak ciepło w pokoju celnym!

* * *

Podróż kończyła się wraz z latem. I kiedy dziś śnieg przykrył wszystkie jego zapachy, zapach miast, smak ludzi, ciepłych wnętrz, smak historii, który mnie osacza w każdej podróży i jest celem samym w sobie, pozostały. Ocaliłam ulotne wrażenia, kopę drobiazgów: śmieszne króciutkie spotkania, ciepło czyjegoś uśmiechu, piękno mijanej skały i kwiatka. Rozleniwiona zimową bezczynnością błądzę po tej krainie drobiazgów, wyciągam każdy na światło dzienne i wcale nie muszę odświeżać, bo tkwi we mnie każdy jak ułamek wielkiego doświadczenia. Im mniejszy, tym staranniej się z nim obchodzę, by nie utonął w konkrecie spraw zbyt wielkich. I takam bardzo, bardzo ciekawa, czy maszkaronowata jaszczurka spod tatrzańskiego głazu dogrzebała się kiedy do skorupek z polskich jaj, skrzętnie zakopanych w dołku nad syczącym potokiem?

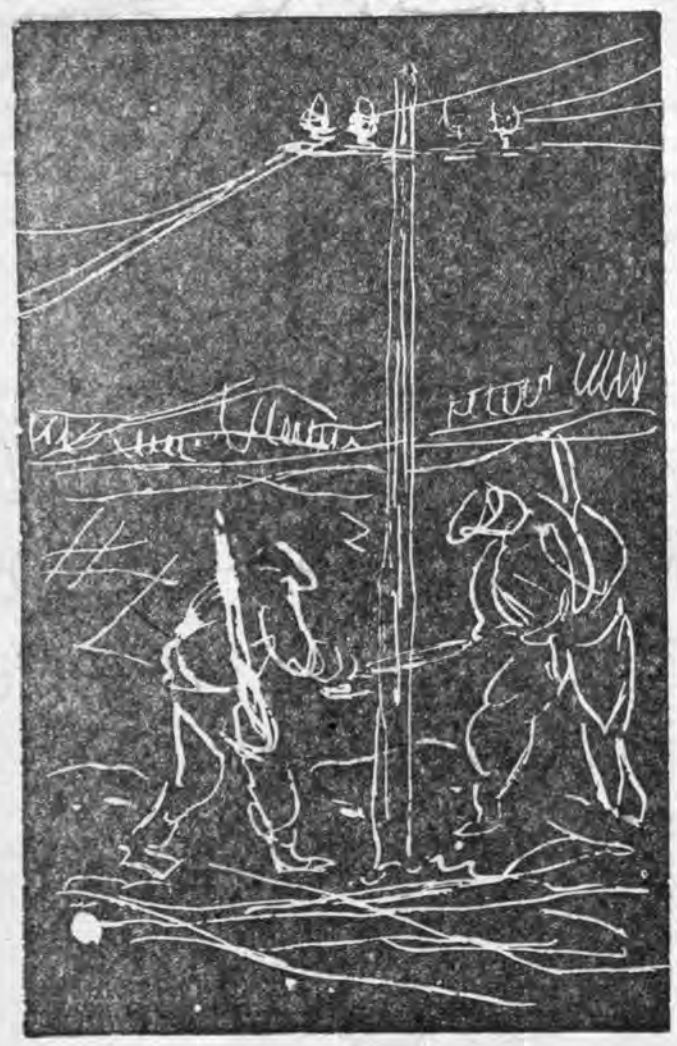

Nowy „żywot" chłopa działacza

(Ciąg dalszy ze str. 1)

saną przez jednego z jego członków a jeszcze później, gdy autor już w Polsce niepodległej kilkakrotnie dzierży mandat poselski i należy do władz PSL „Piast", także historią ruchu ludowego w Polsce. Władysław Kiernik tak charakteryzuje rolę Madejczyka w życiu politycznym:

„...należał do wybitnych działaczy ludowych nie tylko terenowych, ale i centralnych. Był członkiem naczelnych władz PSL „Piast", a po zjednoczeniu ruchu ludowego także Stronnictwa Ludowego. W roku 1930 wybrano go na stanowisko wiceprzewodniczącego klubu poselskiego „Piasta", a potem na wiceprzewodniczącego zjednoczonego klubu posłów ludowych. Często zabierał głos na forum parlamentarnym, przy czym na uwagę zasługuje jego wystąpienie w roku 1932 w sprawie tragicznych zajść w Łapanowie i Lubli".

Z tego okresu wspomina autor bunty, manifestacje i strajki chłopskie na terenie Rzeszowszczyzny, walkę polityczną między poszczególnymi partiami i stronnictwami ludowymi, bolejąc zresztą głęboko nad rozbiciem ruchu ludowego i ukazując kulisy tych walk, wynikających ze świadomie destruktywnej roli sanacji i stronnictw prawicowych. Ale znajduje także okazję do zanotowania przemian w obyczajach i życiu rodzinnym wsi, gdyż mimo eksponowanej roli politycznej nigdy nie opuścił Wróblowej.

Wspomnienia Madejczyka mają wszystkie cechy dobrego chłopskiego pisarstwa. Odznaczają się potoczystością gawędziarskiego tonu, humorem i optymizmem oraz dużą plastycznością. W drugiej części tracą nieco na wartości konstrukcji, lecz dzięki szczerości, prostocie stylu autora nie przestają być czytelne i obrazowe.

Z pamiętników tych wynika jasno, iż awans społeczny autora, chłopa z Wróblowej był możliwy tylko dzięki rewolucji w świadomości chłopskiej i dzięki awansowi całej klasy. Pamiętnikarz nie przestał nigdy być chłopem, nie wysferzył się mimo swej kariery politycznej i pozostał do dziś wierny swoim rodzinnym stronom i chłopskim interesom. I w tym tkwi optymistyczna wymowa „Wspomnień".

W ludowym pamiętnikarstwie Rzeszowszczyzny ta książka zajmuje niepoślednie miejsce i ze względu na jej walory poznawcze (dokument z historii ruchu ludowego) i również ze względu na walory czytelnicze. Jest równocześnie dowodem, iż tradycje chłopskiego pisarstwa na naszym terenie nie zamierają.

Jan Madejczyk: „Wspomnienia", LSW W-wa 1965 r.

JAN GRYGIEL

NIKIFOR ARTYSTA
KRYNICA - WIEŚ

PRZED STARYM DOMEM ZDROJOWYM w Krynicy spotykam kolegę z lat studiów na krakowskiej ASP, Mariana Włosińskiego.

— Cześć Marianku, kopę lat, duża buźka. Co tam niesiesz w tym rondelku?

— Obiad dla Nikifora. Należy to do moich codziennych obowiązków. Bo jak wiesz od pamiętnych czasów, kiedy i ty byłeś w Krynicy zaprzyjaźniłem się z Nikiforem.

— Tak, pamiętam te lata 1954—55, mam nawet portret malowany przez Nikifora.

— Tak, teraz jestem jego opiekunem. Wożę go codziennie do mojej pracowni, podaję śniadanie, później obiad i po kolacji o godzinie 19-tej odwożę do domu. Ale jeżeli masz czas, to chyba odwiedzisz swojego starego znajomego.

W pracowni Mariana w Starych Łazienkach przy stole zastawionym farbami, pędzlami pracuje Nikifor nad swoją kompozycją. Na ścianach małe dzieła tego niezwykle płodnego twórcy. Obok parę figurek świątków ludowych i... radio. Ma ich Nikifor aż siedem. Pracuje chętnie przy muzyce puszczanej z radioodbiornika na cały głos, ponieważ sam słabo słyszy.

Siadam obok Nikifora i zaczynam szkicować jego jakże ciekawą twarz. Zauważył, że jest rysowany i pozuje z wielką powagą. Pokazuję mu swój szkic. Ogląda, obracając na wszystkie strony, bierze ołówek i przekreśla na krzyż, a na drugiej stronie kartki rysuje swój autoportret. Patrzę ze zdziwieniem na artystę, a Marian śmieje się ze mnie w kącie pracowni.

Proszę Nikifora o autograf i pozdrowienia dla czytelników „Nowin". Nie odmawia i pisze, przybijając na zakończenie pieczątkę „Nikifor Matejko".

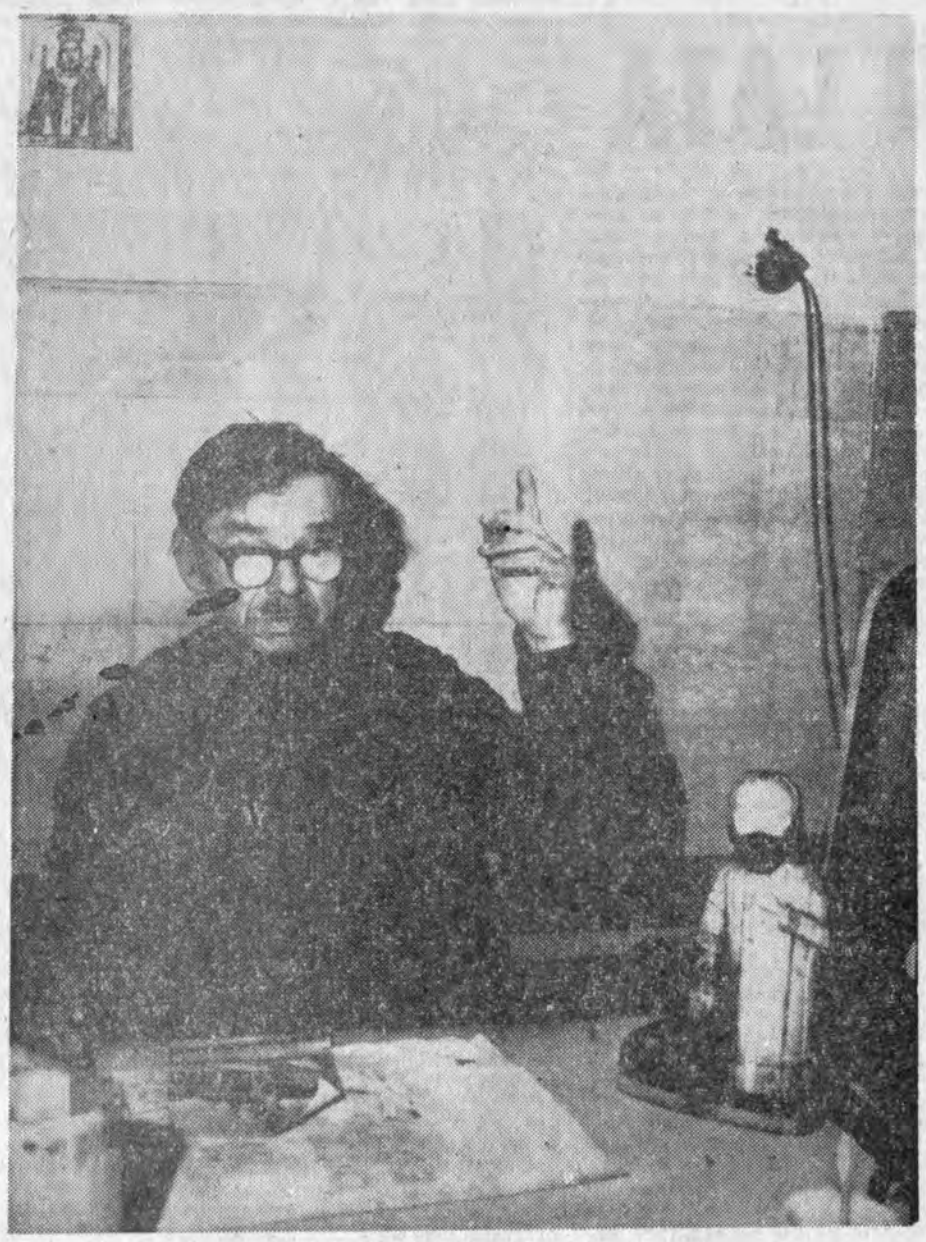

Nikifor w pracowni Mariana Włosińskiego w Starych Łazienkach.

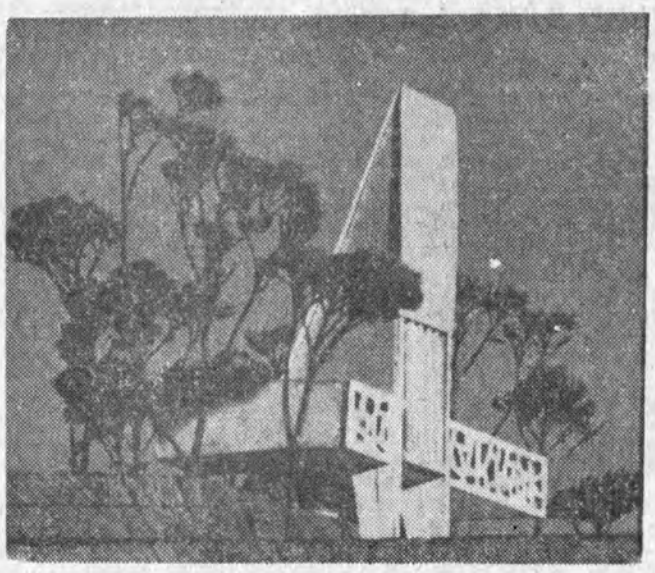

Makieta przyszłego pawilonu artysty

— Nikifor pracuje w swojej pracowni bardzo systematycznie i z wielką niecierpliwością oczekuje wybudowania pawilonu — pracowni. Piękny pawilon według projektu mgr inż. Jerzego Ratajczaka z Krakowa stanie przy ulicy Pułaskiego w Krynicy, niedaleko murka, na którym lubił siadać przed laty Nikifor sprzedając za grosze swoje obrazki kuracjuszom.

JERZY SIENKIEWICZ

ŚWIATOWE WOJAŻE POLSKIEJ SZTUKI

Każdego roku wystawy sztuki polskiej, prezentowane są w wielu krajach świata, a w Polsce urządzane są ekspozycje ukazujące dzieła artystów zagranicznych. Jak zapowiada się w tej dziedzinie 1966 rok?

Najpierw — o wystawach polskich za granicą. Ekspozycję dzieł Xawerego Dunikowskiego obejrzą mieszkańcy Moskwy. Projektowane jest zorganizowanie wystawy polskiej grafiki artystycznej, plakatu i ilustracji książkowej w USA. Prace naszych artystów grafików pokazane zostaną także w Turcji.

Bułgarię, NRD i Rumunię, a prawdopodobnie także Czechosłowację i Węgry, odwiedzi wystawa polskiego malarstwa współczesnego, czynna obecnie w Związku Radzieckim. Ekspozycja obejmuje 125 obrazów 72 artystów, m. in. Jana Cybisa, Eugeniusza Eibischa, Wacława Taranczewskiego i Stanisława Teisseyre. W Meksyku, Brazylii i na Kubie zaprezentowana zostanie inna duża wystawa polskiej sztuki współczesnej, którą oglądali w 1965 r. mieszkańcy Argentyny i Urugwaju. Na tę ekspozycję składają się 173 prace z zakresu malarstwa, rysunku, grafiki i tkaniny wielu znanych artystów: Stefana Gieromskiego, Aleksandra Kobzdeja, Alfreda Lenicy, Eugeniusza Markowskiego, Haliny Chrostowskiej, Mieczysława Wejmana, Magdaleny Abakanowicz, Jolanty Owidzkiej i in.

W Belgii i Holandii pokażemy tkaniny współczesne, w Brazylii i Norwegii — prace naszych fotografików, na Kubie — plakaty, a w Czechosłowacji i Brazylii — wystawy polskiej architektury.

Ekspozycje polskich tkanin średniowiecznych przygotowuje dla Szwecji Muzeum Narodowe w Krakowie, a Muzeum Narodowe w Warszawie — wystawę pn. „Epoka Stanisława Leszczyńskiego", która ma być urządzona w Luneville i Nancy (Francja).

Prawdopodobnie we Francji zorganizowana zostanie reprezentacyjna wystawa naszej plastyki współczesnej. Wystawa francuska o podobnym charakterze urządzona będzie w Polsce.

Po kilka wystaw naszej sztuki współczesnej przygotowuje Związek Polskich Artystów Plastyków dla Czechosłowacji, Węgier i Związku Radzieckiego, kilka ekspozycji urządzonych zostanie w Austrii.

Karykatura autora, przekreślona przez Nikifora

Tak wyobraża sam siebie Nikifor

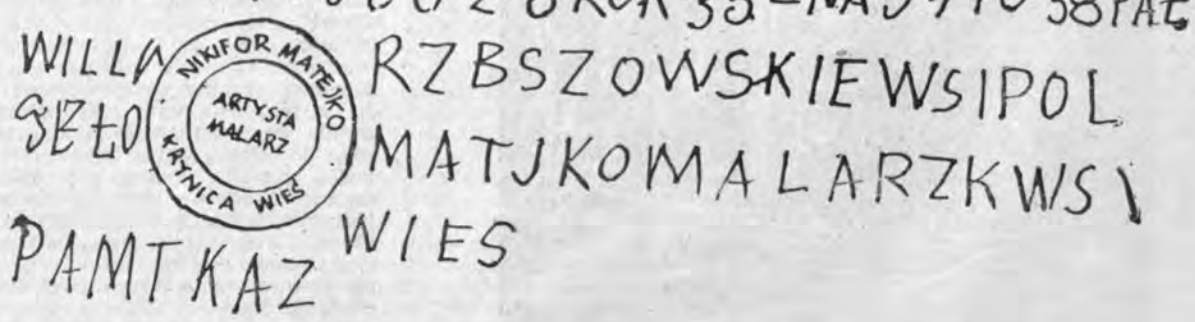

Pozdrowienia dla czytelników „Nowin"

„HAPPENING" POWSZECHNY

Pozwolę sobie ogłosić rok 1966 Rokiem Zdrowia Psychicznego. Wysypuję do kubła na śmiecie fiolki z psychoneuriną, bromuralem, ataraksem, wylewam neospasminę i walerianę, rzucam hasło: kochajmy się!!!

Przewiduję w roku bieżącym gwałtowny spadek frekwencji w poradniach zdrowia psychicznego, bezrobocie wśród neurologów i psychiatrów, całkowite wyludnienie się domów wariatów i to wcale nie dlatego, że wiariatami będziemy wszyscy, ale z innej zgoła przyczyny. Zostało bowiem dokonane wiekopomne odkrycie, które pozwoli każdemu dotrzeć do głębi swojego „ja" i osiągnąć absolutne wyzwolenie i pogodę ducha. Koniec z kompleksami, frustracjami, alienacją, zawiścią, zazdrością, podgryzaniem, kopaniem dołków i w ogóle z brakiem wzajemnej życzliwości. Mamy na to wszystko niezawodne lekarstwo, które nosi nazwę — „h a p p e n i n g".

Na czym polega skuteczność działania „happeningu" i czym jest „happening" postaram się po krótce wyjaśnić. Otóż już starożytni Rzymianie, a przed nimi inni, równie, a nawet bardziej starożytni doszli do wniosku, że w każdym „homo sapiens" drzemie artysta. Otóż ów drzemiący, albo lepiej uśpiony twórca nie zawsze się budzi, nie w każdym się wyzwala, ale za to każdego bez wyjątku przez sen poszturchuje w jaźń. Jednego mocniej, innego słabiej, tego trąca w główkę, tego w wątrobę, jeszcze innego w serduszko, alibo w woreczek żółciowy. A już najgorzej, kiedy taka śpiąca zmora dostanie zastrzyk czystej monopolowej, wtedy chce się z nas wyrwać do wielkich czynów i bezlitośnie przepycha się łokciami na ten świat boży. Jeżeli się przepcha i zostanie ustawiona właściwie może powstać wielkie dzieło w stylu „pop-art", jeżeli się wyrwie bez naszej kontroli, to lądujemy w izbie wytrzeźwień. Męki twórcze nie zawsze są właściwie interpretowane. I tutaj właśnie „happening" przychodzi z pomocą, ukierunkowuje poczynania drzemiącego w nas twórcy, uświadamia nam jego istnienie, wyzwala go właściwie , a tym samym chroni nasze główki, wątróbki, nereczki i przyległości.

„Happening" jest ukoronowaniem twórczych poszukiwań plastyków na Zachodzie, ale z dumą muszę donieść, że pierwsza tego typu impreza krajowa odbyła się w Krakowie w lokalu SHS, a uczestniczył w niej nawet jeden rzeszowianin. Nazwisko zachowuję w tajemnicy, gdyż „happening" wciąż jeszcze jest w stadium prób laboratoryjnych, opracowuje się dopiero naukowe podstawy „happeningu", a jego krajowi prekursorzy są już zasypywani korespondencją pragnących wyzwolenia. Uchylę jednak rąbka tajemnicy, gdyż dane mi było rozmawiać z naocznymi świadkami tego wielkiego zjawiska.

Przepis na krajowy „happening" nie jest zbyt skomplikowany: weź kilku, albo kilkunastu plastyków w miarę wysportowanych, najlepiej płci obojga, do tego kilkanaście rolek papieru toaletowego, parę pędzli do golenia, parę tub kremu do tegoż samego celu, ze dwa stołki, jeden stół, jedno łóżko, jednego martwego indyka, ale nieoskubanego, tomik awangardowego poety, podręcznik psychologii, węgiel do rysowania plus kilkanaście innych rekwizytów według uznania. Zamiast plastyków mogą być utajeni artyści — zawód i wykształcenie obojętne, najistotniejsze są dobre chęci wyzwolenia się, a raczej wyzwolenia swojego „ja". I oto mamy już wszystko przygotowane do imprezy, do misterium zwanego „happeningiem". Spraszamy publiczność i zaczynamy.

Na gustownym modelu szubieniczki zawieszamy indyka i rozpoczynamy skubanie ptaka. Jednocześnie — dwóch facetów rozbiera się do ineks prymabli i namaszcza się z namaszczeniem kremem do golenia; jednocześnie — jedna niewiasta w stroju kąpielowym jest malowana od stóp do głowy węglem; jednocześnie — ktoś inny owija inną papierem toaletowym (ostrożnie, żeby papier można było potem użyć zgodnie z jego podstawowym przeznaczeniem); jednocześnie — ktoś czyta tomik poezji, a inny ktoś psychologię; jednocześnie — siedzący na krzesłach siadają i wstają krzycząc przy tym: „ja siedzę"; jednocześnie publiczność wytrzeszcza oczy i drapie się w głowę, bo nie wie jeszcze, że za chwilę zostanie obrzucona gotowanym makaronem, który będzie zdrapywać z ubrań... pamiętajcie musi być makaron, lepszy efekt osiągnęłoby się oblewając, obrzucając widzów gorącą kaszką manną, albo hreczaną, ale za to koszty byłyby wyższe. To obrzucenie jest właśnie ukoronowaniem imprezy, momentem, w którym pobudzona wyobraźnia widza, uświadamia mu jego powołanie i pozwala poczuć się artystą.

I to już koniec, ale „happening" można urządzić równie dobrze w prywatnym mieszkaniu, jak w plenerze, można na dworcu kolejowym i na łonie natury, w tramwaju i w kawiarni, przy udziale dwóch osób i całej wycieczki. Można przy tym wykonywać najbardziej różnorodne zabiegi, ruchy, wydawać odgłosy takie i inne, używać najprzeróżniejszych i najbardziej niespodziewanych rekwizytów. Na tym właśnie polega uniwersalność „happeningu", że w każdych okolicznościach można poczuć się twórcą, można odświeżyć wyobraźnię, odrzucić opętujące nas zniechęcenie i kompleksy.

I tak w przepełnionym tramwaju, albo autobusie mamy znakomitą okazję do zorganizowania „happeningu" w czasie jazdy do pracy, albo powrotu do domu, a wystarczy nam do tego słoiczek ćwikły, którą obrzucimy współpasażerów, albo buteleczka soku wiśniowego wylana na najbliższe otoczenie. Wystarczy tylko to, nic więcej nie trzeba już zrobić, żeby zaczął się najcudowniejszy w świecie „happening" samorzutny.

Kiedy pomyślę, że w roku ubiegłym 360 milionów pasażerów przejechało krakowskimi tramwajami i autobusami, nie zdobywając się na nic innego jak na narzekania i prawienie sobie wzajemnych inpertynencji zaczynam doceniać „happening". O ileż radośniejsze byłyby nasze środki komunikacji miejskiej, nasze przedświąteczne kolejki w sklepach monopolowych, gdyby wcześniej przyszedł do nas zbawienny środek na zniechęcenie.

Zastanawiam się nad wykorzystaniem „happeningu" jako reklamy w naszym handlu na przykład. Ot weźmy sklep z artykułami, które określamy dość niedelikatnie mianem „bubli". Otóż obsługa powinna ogłosić wyprzedaż „happeningową", połączoną z relaksem „happeningu". Prześwietni klienci, którzy nagle poczują się prawdziwymi artystami wykupią wszystko co do joty, „pro arte", boć prawdziwy artysta nie dba o gotówkę. Na wszelki wypadek personel sklepu może przywdziać pancerne koszulki, ewentualnie wypożyczyć w muzeum kilka gustownych zbroi, gdyby napór kontrahentów był zbyt gwałtowny.

Rozliczne możliwości otwierają się przed działaczami kulturalnymi. Tutaj zajdą szczególnie gwałtowne przemiany, gdyż będą oni mieli do czynienia nie jak dotychczas z konsumentami kultury, ale wyłącznie z samymi twórcami, a przynajmniej z twórcami „in spe". Przede wszystkim odpadnie problem finansowania wszelkiego rodzaju klubów, świetlic, domów kultury, nie będzie się urządzać odczytów, spotkań autorskich, wystaw malarskich, organizować żadnych zespołów — te namiastki kulturalne zastąpi jedyna prawdziwa „nadsztuka", czyli „happening". Powszechny, ogólnokulturalny „happening" w wykonaniu PT. Publiczności. Każdy sam sobie będzie twórcą, instruktorem, głównym księgowym, bo kogóż nie stać dziś na paczkę czterojajecznego makaronu, nie mówiąc już o dwujajecznym.

Tak to po raz pierwszy w dziejach ludzkości sztuka naprawdę może się zbliżyć do życia, a życie do sztuki w tak doskonały sposób, że sztuka będzie samym życiem, a życie sztuką. A wszystko dzięki temu, że w ślad za „op-artem" i „pop-artem" objawił nam się w całej okazałości „pic-art", którego najdoskonalszym tworem jest „happening".

O czym donosi z Krakowa „zhappeningowany".

JERZY WALAWSKI

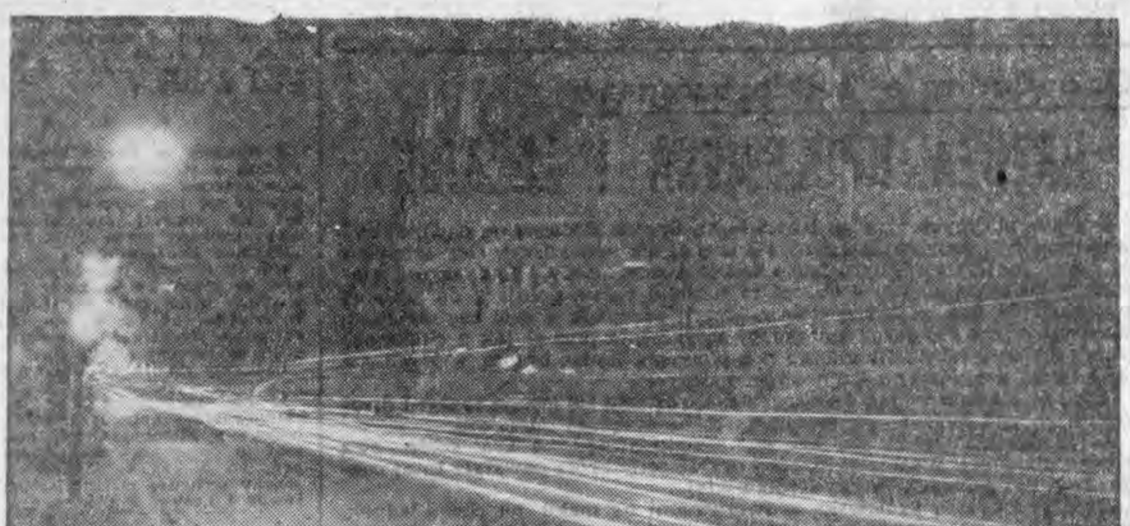

BOGDAN LOEBL

SUBLOKATOR

Opanowało mnie wzruszenie, kiedy przeczytałem w „Polityce", że: „Niektórzy mieszkańcy Legnicy, nabywając od MRN domki jednorodzinne, po sfinalizowaniu transakcji otrzymują od swojej miejskiej władzy miły upominek - niespodziankę: staruszka-sublokatora". Wzruszenie, którego źródłem (przyznać muszę ze wstydem) był brzydki egoizm. Świadomość, że nie tylko ja zostałem tak potraktowany przez łapę losu. Bo ja również, razem z mieszkaniem otrzymałem upominek - niespodziankę. Tyle, że nie jak ci szczęśliwcy w Legnicy staruszka - sublokatora, ale staruszka-sublokatora-traktora.

Ażeby nikt nie mógł posądzić mnie o subiektywizm, przyznaję, że patrząc na rzecz z pozycji traktora można ją zobaczyć całkiem inaczej, mimo to że nie on, lecz właśnie ja otrzymałem klucz od mieszkania oraz dokument stwierdzający, iż jestem tegoż mieszkania głównym i jedynym lokatorem. Ale gdy go spytacie, kto był tu pierwszy, warknie: „ja, traktor", i to nie będzie kłamstwo. Bo on rzeczywiście był tu pierwszy. Był tu zanim jeszcze wstawiono drzwi i wmontowano w nie zamek dla tego klucza, który mi potem wręczono, ażebym pojął istotę różnicy istniejącej pomiędzy teorią i praktyką.

Oczywiście nie uprzedzano mnie o niczym ani słowem. To miała być niespodzianka. I rzeczywiście. Kilka minut po godzinie szóstej sublokator-staruszek-traktor objawił mi swoją obecność głośnym... hm, nazwijmy to „pyknięciem" rury wydechowej. Otworzyłem oczy i natychmiast zamknąłem je z powrotem. Jeszcze bowiem miałem złudzenie, że to senne majaki, że mi się przesłyszało. Ale w kilka minut od chwili, w której mój sublokator wydał ten odgłos, już tych złudzeń nie miałem.

W ciągu następnych kilku minut sądziłem, że to modlitwa. Z lektury dzieł Kraszewskiego wiedziałem, że staruszkowie chętnie często odmawiają modlitwy, nawet jeżeli noszą dumne imię „Ursus". Pomyślałem: „zmówi pacierz i się zatka, a ja będę mógł kontynuować przerwany sen". Ale kiedy zaczęło się to przeciągać ponad zwykłą miarę, kiedy nawet ukuta na prędce przeze mnie teoria o litanii zaczęła tracić rację istnienia — zaniepokoiłem się. Po dwu godzinach owego bezustannego „bach-bach-bach-bach" mojego staruszka-sublokatora-traktora, czy też gospodarza przydzielonego mi mieszkania, byłem już pewien, że sprawa wygląda daleko poważniej, aniżeli sądziłem po jego pierwszogodzinnym „bach-bachaniu".

Myśląc w rytmie: „bach-bach-bach" zacząłem rozważać szanse powodzenia mego, mającego na celu uciszenie staruszka-sublokatora-traktora, działania. Z lektury książek serii „Złotego Tygrysa" wiedziałem, że przed przystąpieniem do akcji należy szczegółowo opracować jej plan, spenetrować teren, na którym ma się rozegrać oraz możliwie dokładnie poznać zwyczaje przeciwnika. Wziąłem więc kartkę papieru i ołówek, i zacząłem się głowić.

Ale wszystko, co na niej napisałem, już po chwili: „bach-bach" — przekreśliłem...

Wykwaterowanie? Wykluczone. Wykluczone absolutnie, mimo że istnieją wszelkie niezbędne do umotywowania takiej decyzji argumenty. Pozornie to oczywiste, że jeżeli idzie o mieszkanie, w którym można zrobić dwa kroki wszerz i trzy wzdłuż — nie ma podstaw, ażeby do niego dokwaterowywać traktor. Oczywiste z punktu widzenia paragrafów, ale nie ludzi, którzy ten pokój i blok, w którym on się mieści, projektowali i budowali. No bo jak bym im zareplikował, gdyby mnie spytali: „Wykwaterowujesz traktor? A to, że dzięki konstrukcji bloku, w którym mieszkasz, nie musisz kupować radia, bo możesz nie ruszając się z łóżka korzystać z radioodbiornika sąsiada mieszkającego o dwa piętra niżej, to się nie liczy? A to, że nie musisz wychylać nosa poza drzwi, ani nikomu ich otwierać, ażeby prowadzić ożywione życie towarzyskie z lokatorami bloku, to się nie liczy? Że wiesz kto z kim, o jakiej godzinie oraz ile razy w ciągu doby — tego nie bierzesz pod uwagę?"...

Perswazja? A może właśnie to, co on robi, to jego cierpliwie powtarzane już przez trzecią godzinę „bach-bach-bach-bach", to jest właśnie próba wyperswadowania mi chęci protestowania przeciwko temu ogłuszającemu mnie „bach-bachowaniu?".

Dialog? Czy rozsądną rzeczą jest podejmowanie dialogu z kimś, kto dysponuje takim argumentem, jak „bach-bach-bach-bach"?

Odsunąłem od siebie kartkę i ołówek. Wstałem z łóżka i zrobiwszy trzy kroki omal nie stłukłem głową szyby, ponieważ wskutek zdenerwowania zapomniałem, że nie kroczę po linii długości pokoju, lecz po jego szerokości, która przecież nie została zaplanowana na tak długie spacery. Przycisnąłem czoło do szyby, ażeby złagodzić jej chłodem ból bombardowanej „bach-bachami" głowy i wzrok mój zatrzymał się na umocowanej u szczytu skonstruowanej z metalowych rur bramy — tabliczce „Rzeszowska Centrala Materiałów Budowlanych". Nagle sypnęło gęściej śniegiem, rzucony wiatrem mokry śnieg zalepił litery „Rzeszowska Centrala Materiałów Budowlanych" i traktor... umilkł.

„Wytrwałości — przemówiłem do siebie — postaraj się jeszcze przez te kilka minut, które dzielą cię od momentu popadnięcia w obłęd, nie rozstawać się ze świadomością... Spójrz — tłumaczyłem sobie łkając — śnieg pada, rosną nowe domy, architekci kreślą plany domów jeszcze akustyczniejszych, może staruszek-sublokator-traktor będzie już od tej chwili milczał... wkrótce słońce zaświeci...".

I rzeczywiście, po kilkunastu minutach ciszy śnieg przestał padać i przykryte białością miasto opromieniło słońce.

„Bach!" — parsknął radośnie traktor na widok wyświeżonej, umytej płatkami roztopionego śniegu tabliczki Rzeszowskiej Centrali Materiałów Budowlanych. Mój pokrzepiony niedawną ciszą, a zahartowany lektura książek pani Barbary Gordon umysł samoczynnie oddał się czynności dedukowania. Wniosek, który dzięki niej został wysnuty, był prosty; mój sublokator-staruszek-traktor robi „bach-bach-bach-bach" na widok czerwono-białego napisu „Rzeszowska Centrala Materiałów Budowlanych". Ten prosty, oparty na realnych przesłankach, wytrzymujący próbę formuł logiki wniosek był jednak, jak się wkrótce dzięki moim dalszym obserwacjom okazało — błędny.

A okazało się, że mój sublokator-staruszek-traktor znajduje się pod całkowitym wpływem właściciela czapki-uszanki, a tabliczka Rzeszowskiej Centrali Materiałów Budowlanych gra tu jedynie rolę tła. Odniosłem wrażenie, jakiego doznaje się chyba tylko po długim błądzeniu ciemnymi korytarzami groty na widok światła słońca. Zatem człowiek! Zatem układ, w którym perswazja i dyskusja posiadają prawo obywatelstwa!

(Ciąg dalszy na str. 6)

Nowe wydawnictwa regionalne

Z końcem grudnia w Rzeszowskich Zakładach Graficznych zakończono druk dwóch wydawnictw regionalnych — Rocznika Województwa Rzeszowskiego i Rocznika Przemyskiego.

Rocznik Województwa Rzeszowskiego — jest organem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie. Ukazuje się pod tym tytułem po raz czwarty, co świadczy o dużej żywotności Towarzystwa i jego działaczy. W Roczniku na 462 stronach zamieszczono 24 rozprawy i artykuły o tematyce regionalnej, związanej z terenem województwa rzeszowskiego i jego historii.

Na uwagę nauczycieli zasługują artykuły o różnych typach szkół: Franciszka Filipowicza, Stanisława Zwolińskiego, Jana Tutaja, Franciszka Urbana, Władysława Kaziora, Kazimierza Żmudki, Władysława Kunysza i Leopolda Leśniaka. Pierwszy z nich ukazał w swej pracy powstanie i rozwój szkolnictwa artystycznego w województwie rzeszowskim w latach 1944—1963, — Stanisław Zwoliński — zajął się dwudziestoletnią działalnością szkolnictwa rolniczego w naszym województwie. Tematem pracy Franciszka Urbana jest organizacja i działalność placówek oświaty dla dorosłych. Dwaj następni autorzy piszą o rozwoju i osiągnięciach zakładów kształcenia nauczycieli szkół podstawowych i wychowawczyń przedszkoli, Jan Tutaj dał ogólny szkic o tym szkolnictwie. Władysław Kazior zajął się działalnością Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie.

Szkolnictwo wyższe Rzeszowa stało się tematem prac Kazimierza Żmudki i Władysława Kunysza. Pierwszy omawia początki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, a W. Kunysz obrazuje kilkuletnią działalność Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Leopold Leśniak — przedstawił problemy w szkole podstawowej i działalność kulturalno-oświatową we wsi Wiśniowa, w powiecie strzyżowskim.

Nauczycieli i innych pracowników oświatowych może zainteresować praca: „Biblioteki pedagogiczne województwa rzeszowskiego w latach 1964—1963".

Oprócz publikacji poświęconych szkolnictwu i oświacie w Roczniku zamieszczono kilka rozpraw i artykułów, na które winni zwrócić uwagę działacze kulturalni i społeczni. Prof. Roman Reinfuss pisze o problemach kultury Lasowiaków, Józef Szubert „Piętnastolecie Nowin Rzeszowskich", Zygmunt Wójtowicz „Rzeszowska Rozgłośnia Polskiego Radia", Józef Maroń „Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie", Franciszek Kotula „Z dziejów Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Rzeszowie".

Bibliotekarzy obok wspomnianego już artykułu o bibliotekach pedagogicznych niewątpliwie zainteresują artykuły Józefa Świebody „Początki bibliotekarstwa publicznego w Rzeszowie w latach 1882—1914" i Andrzeja Jagusztyna „Działalność księgarsko-wydawnicza Jana Pelara w Rzeszowie w latach 1848—1886".

Na uwagę działaczy politycznych zasługują artykuły prof. Michała Szulkina „Inżynier Józef Pruchnik" — (działacz ludowy i komunista)" i Bronisława Marka „Powstanie i działalność Stronnictwa Demokratycznego na terenie województwa rzeszowskiego w pierwszych latach po wyzwoleniu 1944—1946".

Miłośnicy naszej przeszłości znajdą w tym wydawnictwie interesujące prace Antoniego Kunysza „Puszcza Sandomierska we wczesnym średniowieczu", Tadeusza Śławskiego „Wieś ziemi bieckiej: w latach 1650—1772", Zdzisława Czai „Bank Spółdzielczy — Spółdzielnia z ograniczoną odpowiedzialnością w Gorlicach" oraz Artura Kopacza „W gimnazjum rzeszowskim w pierwszych latach XX wieku".

Rocznik Województwa Rzeszowskiego zamyka obszerna kronika z działalności towarzystw naukowych naszego województwa oraz z działalności Towarzystw Przyjaciół Dzieci i Szkoły Świeckiej w latach 1957—1964".

Rocznik przemyski stanowi kolejny zeszyt trzeciego tomu dziesiątego organu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu. Zawiera 9 rozpraw i artykułów, z których większość jest związana tematycznie ze wschodnimi powiatami naszego województwa.

Ziemi przemyskiej poświęcono w tym zeszycie 3 prace. Jerzego Pióreckiego „Pomniki przyrody powiatu przemyskiego", Kazimierza Pękali „Osuwiska okolicy Krzywczy", „Osada garncarska w Przemyślu (X—XIII wiek)".

Radymno i dawny powiat radymniański stały się tematem 2 prac Kazimierza Gottfrieda „Z przeszłości Radymna" i Krzysztofa Wolskiego, „Powiat Radymno zarys społeczno-gospodarczy".

Powiat ustrzycki dostarczył tematu do pracy Edwarda Bartnika „Osobliwe formy denudacji utworów pokrywowych w okolicy Równi (pow. Ustrzyki Dolne)".

Czytelnicy znajdą w tym zeszycie obok wspomnianych już artykułów obszerną pracę Zdzisława Czyża „Bilans rolniczy mleka w województwie rzeszowskim w roku 1960 na tle spożycia produktów mleczarskich w kraju i za granicą" oraz 2 prace o wybitnych jednostkach — Adama Malickiego „Zainteresowania fizjograficzne Franciszka Ksawerego Giżyckiego" i Jana Olszaka „Jan Gwalbert Pawlikowski w 25 rocznicę śmierci".

Pełna oprawa naukowa, streszczenia w językach: francuskim i rosyjskim oraz staranna szata graficzna podnoszą wartość tego wydawnictwa.

FRANCISZEK ŚWIDER

na wprost

„O nieskutecznym rad sposobie"

Kilkakrotnie brałem udział w ogólnokrajowych konferencjach, sesjach popularnonaukowych i naradach. Odbywają się one zwykle w stolicy — biorą w nich udział delegaci z wszystkich województw zaproszeni według jakiegoś „klucza". Bardzo pouczający jest pewien rytuał, który powstał i ugruntował się w takich imprezach, pewne obrzędowe pokłony, zwroty i formuły. Rzecz rozpoczyna zwykle referat zasadniczy, który już po 20 minutach przestaje docierać do czyjejkolwiek świadomości, gdyż bywa albo przeteoretyzowany, albo odkrywa prawdy obiegowe i oczywiste. Ponadto większość zebranych przybyła po całonocnej podróży z Koszalina czy Rzeszowa.

Później zaczyna się dyskusja. Wiadomo powszechnie, iż większość dyskusji w Polsce przebiega nie na zasadzie polemiki lub rozszerzania problemu objętego referatem, lecz według reguły meldunków i przekazywania doświadczeń z głębokiego terenu lub według wzoru — nazwijmy go „nr 2" („wprawdzie problem, nad którym radzimy jest bardzo ważny, ale w naszej pracy jest wiele innych trudności, które korzystając z okazji chciałbym przedstawić" i dyskutant mówi od rzeczy), lub też — wzór „nr 3" — mówca zwierza się z osobistych przeżyć i doznań życiowych oraz deklaruje swój ogólny stosunek do świata. Oczywiście w ramach tych ogólnych zasad „dyskutowania" istnieje kilka wariantów. Dodać należy, że zabranie głosu w dyskusji, zwłaszcza przez uczestników narady z „terenu" jest obowiązkiem moralnym. Jeśli nie mówił, to znaczy, że źle reprezentował swoje województwo i siebie w stolicy. A to mu może zaszkodzić w dalszej karierze.

Ale wracam do wspomnianego rytuału. Dyskutanci z prowincji rozpoczynają przeważnie od hołdów i podziękowań organizatorom. My z głuszy, gdzie nudno, ciemno i do stolicy daleko, jesteśmy wdzięczni, że nas tu zaproszono. Skorzystaliśmy tak wiele ze skarbnicy mądrości zawartej w referacie i ze spotkania z luminarzami naszej... (potrzebne wpisać). Oby jak najwięcej takich konferencji. Po zademonstrowaniu swojego kompleksu parafiańszczyzny mówią o sobie dyskretnie, zarysowując swą sylwetkę jako pioniera i misjonarza. O temacie konferencji wspominają na marginesie — w jednym zdaniu.

Nie pozostają im dłużni organizatorzy i luminarze. Powiadają: „Jesteśmy wzruszeni obecnością na naszej naradzie wielu ofiarnych nauczycieli, działaczy, prelegentów (niepotrzebne skreślić) z terenu. Wasze doświadczenia, wasza praktyka zawodowa i społeczna mogą nas wiele nauczyć. Wnosicie tu najbardziej twórcze pierwiastki" itd.

Jedni i drudzy myślą zupełnie co innego. Ci z prowincji lekceważą wszystkie uogólnienia teoretyczne i wierzą, że tylko oni mogą tu coś konkretnego i sensownego wnieść zadufani w swej rutynie i skostniałości. Ci ze stolicy uważają prowincjuszy za osobników topornych i prymitywnych i sądzą, że tylko zalecenia i wytyczne organizatorów mogą ich nieco okrzesać.

Do rytuału należy również troskliwe podsycanie dyskusji, by nie wygasła przed czasem. O wartości bowiem narady czy konferencji świadczy nie jakość wypowiedzi dyskutantów, lecz ilość i czas wypowiedzi. Jeśli więc czas dyskusji obliczono w programie na 6 godzin, a po trzech godzinach okazuje się, że nikt nie ma nic ważnego do powiedzenia — odbywa się agitowanie w kuluarach uczestników do zabrania głosu. Dla zachęty podsuwa się im temat wypowiedzi lub napuszcza na któregoś z mówców — „powinniście mu dać energiczną i zdecydowaną odprawę"... No i dyskusja przebiega zgodnie z planem, a ceremonia trwa dalej.

A mogłoby być inaczej. Kiedyś w odległych czasach istnieli i działali bardzo niegrzeczni i apodyktyczni przewodniczący zebrań i konferencji. Ograniczali czas wypowiedzi na naradach, przywoływali do porządku, gdy ktoś odbiegał od tematu, a nawet brutalnie przerywali wszelkie zawijasy obrzędowe. Dziś wychowani w swobodach demokratycznych nigdy sobie na to nie pozwolimy. Nikt nie będzie nam dyktował, co, jak i przede wszystkim ile mamy powiedzieć. A szkoda.

Oczywiście ten typ narad, sejmików i konferencji drogą transmisji wędruje ze stolicy do miast wojewódzkich, gdzie występuje w bardziej jeszcze sformalizowanej postaci.

Można by bardzo ubolewać nad tym stanem rzeczy, przewidywać jego zgubne skutki, gdyby nie fakt, iż większość takich narad ma charakter rozrywkowy. Nikt niczego po nich nie oczekuje, nie łudzi się możliwością praktycznego zastosowania ich wyników. Ludzie się spotkali, posłuchali, pogadali, do sprawozdania rocznego przybyła jeszcze jedna pozycja i wszyscy są zadowoleni. Czy zresztą rytuał działań pozornych występuje u nas tylko w tej postaci? A jednak zdaje mi się, że to trochę za kosztowna zabawa.

JOTGIEL

Mgr ANNA TERESA BUSS — asystentka Zakładu Literatury Polskiej WSP w Rzeszowie. *RYS. J. SIENKIEWICZ*

Opowiadanie folklorystyczne

BRZOZA KRÓLEWSKA I LEŻAJSK

Gdzie w obecnych czasach leży wioska Brzoza Królewska, dawniej była nieprzebyta puszcza. Człowieka-ś w niej nie uświadczył. Gdy człowiek tu nie popasał, to nie było także wokół żadnej osady. Raz w ten nieobeszły las zabłąkał się w pogoni za rannym turem polujący na grubego zwierza król. Tur gdzieś w trzęsawiskach przepadł, a król bez dworzan, samotny, uczuł się naraz zmęczony, bo żar lata buchał jak z chlebnego pieca. Co miał robić? Zwalił się pod pierwszą lepszą brzozą, których rosło w koło mrowie i pod nią długo spoczywał.

A kiedy się tam wysapał z utrudzenia, rozległo się granie rogów i dworzanie go pod pięknym drzewem na mchu leżącego odszukali.

— Wspaniała, królewska brzoza — wykrzyknęli, a król sobie ową brzozę upodobał. Wystarczyło, żeby dla wygody króla powstała tutaj osada. Taki był początek Brzozy Królewskiej.

Król pod brzozą królewską z dworzanami na mchu nie chciał jednak w czas rzeczony przenocować. Udali się trochę na wschód do osady, która nie była nazwana. Zjedli tam swoje pieczyste, zapili puszczańskim miodem, polegali na sianie, mieli doskonały nocleg.

Wynagrodzeni smolarze, kiedy król i jego świta zachwalali pachnący na stogu leżajsk, wiedzieli już, jak swą osadę w puszczy nazwać. Król odjeżdżał do Krakowa, to oni go zapraszali do Leżajska.

Opowiedział Antoni Franus z Brzozy Królewskiej, pow. Leżajsk, opracował Władysław Długosz

zdarzenia tygodnia

Ostatnio ukazał się wydany nakładem Muzeum Okręgowego w Rzeszowie katalog stałej wystawy etnograficznej, eksponowanej w tej placówce.

Na całość albumu, noszącego tytuł „Stroje ludowe" składają się przedmowa dyr. Muzeum, dr Franciszka Błońskiego, wstęp, w którym autorzy wystawy zapoznają czytelnika z wytworami kultury materialnej woj. rzeszowskiego, a przede wszystkim ubiorami poszczególnych grup etnograficznych (stroje rzeszowskie, lasowiackie, zabawkarstwo itp.).

Bardzo pomocny dla zwiedzających wystawę jest spis eksponatów, a tłumaczenia wstępu na języki angielski i niemiecki, podnoszą wartość wydawnictwa.

* * *

W Leżajsku odbyło się wspólne posiedzenie Komisji Propagandy KP PZPR i PK FJN, na którym dokonano oceny pracy kulturalno-oświatowej w środowisku wiejskim w świetle uchwały KW PZPR oraz zatwierdzono plan realizacji tejże uchwały.

* * *

Teatr amatorski Zakładowego Domu Kultury Huty „Stalowa Wola" wystawił w dniu 6 stycznia br. premierę sztuki Aleksandra Fredry „Mąż i żona". Sztukę wyreżyserował J. Żmuda, scenografia T. Grabary.

* * *

5 stycznia w Domu Sztuki przy ul. 1 Maja w Rzeszowie (nazwa jeszcze nie zatwierdzona oficjalnie, ale propozycja wydaje się jak najbardziej słuszna) odbył się koncert muzyki kameralnej, zorganizowany przez BWA na wystawie „Jesienne konfrontacje".

Odnotowujemy ten fakt, gdyż sądzimy, że placówka ta może stać się poważnym ośrodkiem życia kulturalnego w mieście, na co zresztą liczono, podejmując decyzję o poważnych nakładach na remont synagogi.

Czekamy na dalsze inicjatywy!

* * *

16 bm. rozpoczyna tournee po woj. rzeszowskim kabaret muzyczny „Arabeska" z Zielonej Góry, który zaprezentuje program zatytułowany „Czy państwo wierzą w duchy?". W skład obsady wchodzą m. in. Barbara Bittnerówna i Lesław Finze.

* * *

13 stycznia w sali Prez. PRN w Przemyślu otwarto wystawę pt. „Zabytki w oczach dzieci" — rysunków dzieci z Sanoka: Wojtka i Małgosi Kurtiałów.

* * *

Do 19 bm. będzie przebywał goszczący w naszym województwie, znany już z poprzednich występów, cygański zespół pieśni i tańca „Roma" z Krakowa. Artyści prezentują tańce, pieśni i muzykę, jednym słowem, folklor cygański.

SUBLOKATOR

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Podszedłem do człowieka i powiedziałem mu, że bardzo zależy mi na tym, ażeby więcej nie parkował traktora w moim pokoju. Przyjrzał mi się uważnie. Wyraz jego oczu zaniepokoił mnie. Zastanowiłem się, czy nie poinformować go, że jestem poetą i odgłosy, jakie wydaje jego traktor narowią mi pegaza, ale doszedłem do wniosku, że to zbędne, gdyż zjawisko parkowania przez niego traktora w moim pokoju jest faktem, nie metaforą. Wskazałem więc ręką na traktor i otworzyłem usta, ażeby mu raz jeszcze powtórzyć moją propozycję, ale nie uczyniłem tego, gdyż wyczytałem z jego oczu, że jeszcze jedno moje słowo na ten temat, a dostanę po mordzie. Pojąłem nagle, czego chciałem dokonać i zrobiło mi się głupio. Bo czyż nie jest bezczelnością chcieć w ciągu kilku minut wykorzenić chociażby najcelniej dobranymi wyrazami — nawyk, który ugruntowała w naturze człowieka praktyka całych wieków? No bo, czy pradziad, dziad i ojciec właściciela czapki-uszanki zostawiali przed karczmą wóz z koniem... zgaszonym?

Wdrapałem się na moje piętro. Staruszek-sublokator-traktor już tam był.

BOGDAN LOEBL

TEKST: EDMUND GAJEWSKI

RYS. JERZY SIENKIEWICZ

CZY to może się dobrze skończyć? Nic nie wróżyło nieszczęścia! Jestem z natury człowiekiem o stoickim spokoju, pozytywnie ustosunkowanym do rzeczywistości. Można rzec, że nadążam... Wiadomo świadomy. Żadne pustosłowia. Co to, to nie — nie jestem gołosłowny.

Przeczytałem w gazecie: „Margaryna lepsza od masła" — od tego czasu brzydzę się masła. W sklepach pojawiły się wywieszki: „Klient nasz pan". Jestem zdyscyplinowany; mimo oporów nie zwątpiłem, że jest to słuszny kurs. Faktycznie PSS i MHD traktują mnie jak PANA dziedzica... po parcelacji.

Dodam skromnie, ja nie z tych co się łamią, że niby ktoś mnie podgryza, podrabia, przerabia, persukuje, albo podstawia mi nogę.

Nie cierpiałem na pantofobię[1] i nie miałem zamiaru, a teraz?

Wszystko przez ten 1966 rok. Już sam pomysł przywitania nowego roku w gronie rodziny przed telewizorem okazał się poroniony. Zaczęło się 5 po 12, a końca nie widać. Pal licho, że pierwszego 1966 do białego rana dzwonił telefon i nie zmrużyłem oka. Nie mam też pretensji, że pieniędzy jak nie było, tak nie ma, a od życzeń — zdrowia — straciłem pół zdrowia. Ale la-boga co się dzieje!!!

Sąsiadki z I piętra, które od lat mnie podrabiały i w ogóle pod... znające lepiej moje konflikty rodzinne niż ja sam, dzięki przemyślnemu rad sposobie. Co tu dużo mówić. Pełnia poświęceń. Te przyjemniaczki, gdy tylko podnosiłem głos odsuwały ciężki poniemiecki dywan i przystawiały ucho do podłogi. I pomyśleć. One również wylewnie ściskały mi dłoń życząc. Ba! Także sąsiadka, która sprawuje pełną kontrolę nad moją moralnością — wirtuoz klatki schodowej — też dobrze mi życzyła. Babsko osiągnęło swą władzę dzięki absolutnemu słuchowi. Każde skrzypnięcie moich drzwi wychwytuje jak ucho elektronowe. Momentalnie uchyla swoje, czyści buty, wystawia kubeł ze śmieciami, albo stoi i gapi się. To jeszcze nie koniec. Nie mogę pokazać się na ulicy. Różne typy, których znam, mniej znam i w ogóle nie znam, obcałowują mnie na konto nowego roku.

Czarna rozpacz. Jestem „s p a n t o f o b i o w a n y". Nie mam już wrogów, a tak sobie z nimi świetnie radziłem. Nie pozostało mi nic innego, jak błagać po marksistowsku; Boże chroń mnie od przyjaciół!

[1] Pantofobia — obawa wszystkiego, przygnębienie.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.